Nr. 17. **Poznań, Niedziela 17go Czerwca 1894 r.** **Rok I.**

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Reforma ustawy prasowej w Austryi i Koło polskie w Wiedniu.

II.

Zmiany w ustawie. Zachowanie się wobec nich Koła. Rezultaty polityki tegoż Koła.

Parlament austryacki nigdy zbytecznie nie imponował, obecnie zaś działalność jego i rozprawy są czystą komedyą. Koalicya, w obawie przed rozbiciem się, przyjęła rolę pokornej służebnicy rządu, zamiast żeby rząd był wykonawcą jej poleceń. Dla miłej zgody zaprzepaszcza się zasady i najważniejsze sprawy, a prym w tem wiedzie Koło polskie.

Z góry było wiadomem, że i reforma prasy będzie płodem poronionym, bo rząd nie dopuści do jej swobody, w obawie o własną skórę. Parlament przyjął rzeczywiście tylko to, na co się rząd zgadzał, a zgodził on się na takie drobiazgi, które, Bogiem a prawdą powiedziawszy, nic a nic położenia dziennikarstwa nie zmieniają.

Zniesioną została naprzód kaucya, a to dla tej prostej przyczyny, iż nie przedstawiała ona dla rządu żadnej wartości. Ustawa pozwalała wprawdzie zabierać ją w całości, lub częściowo, ale dopiero w razie skazania wydawcy czy redaktora za zbrodnię w pojęciu ustawy karnej, to znaczy, jeżeli sąd *przysięgłych* zbrodnię tę uznał. Otóż sądy przysięgłych nigdy nie zgadzały się z zapatrywaniem prokuratoryi, zawsze uwalniały oskarżonych, a wskutek tego prokuratorowie dawali za wygranę i od lat wielu przestali zupełnie skarżyć się przed trybunałem przysięgłych. Kaucya więc stała się *lucus a non lucendo*.

Rząd zrzekł się tego prawa z takim spokojem, z jakim my zrzekliśmy się już dawno sum neapolitańskich, pokrewnych posiadłościom na księżycu. Dla dziennikarstwa poważnego żadnej ulgi zniesienie kaucyi nie przynosi, bo wobec doświadczonej pewności, że nigdy ona przepaść nie mogła, każdy choć trochę poważny wydawca, jeżeli sam nie miał na złożenie kaucyi, łatwo znajdował kogoś, co składał ją za niego w papierach wartościowych i zamiast odcinać od nich kupony w domu, odcinał je w kasie państwowej, mając nawet większe dla niej bezpieczeństwo, gdyż nie potrzebował się obawiać złodzieja. Ta ulga nie tylko nie jest ulgą, ale może się stać szkodą dla poważnego dziennikarstwa, ułatwi bowiem rewolwerowym pismakom zakładanie piśmideł obliczonych na szantaż, na wyzysk chwilowy. Kto nie ma sam żadnego kapitału, ani kredytu, komu nikt z pomocą jednym i drugim nie przyjdzie, kto wreszcie nie ma tyle u ludzi zaufania, że nie znajdzie nawet kogoś, coby mu dał kaucyę, zupełne bezpieczeństwo przedstawiającą i na własne imię zapisaną, a którą każdej chwili wypowiedzieć może — ten chyba nie ma kwalifikacyi na wydawcę pisma, mogącego przedstawiać jakąkolwiek wartość etyczną. W rezultacie więc pojawi się cała masa „jednodniówek“, która korupcyę prasy doprowadzi do granic ostatecznych.

Dalej rząd zgodził się, aby prokuratorowie byli obowiązani wskazywać artykuły i ustępy, podległe konfiskacie. W praktyce istnieje to od dawna, a więc jest to znowu podarunek bez znaczenia. Cała różnica będzie polegała na tem, że wydawca będzie mógł zamiast „niech pan prokurator będzie łaskaw“ mówić: „niech pan prokurator pokaże mi co skonfiskował“ — ale dobrze wychowany wydawca pewnie zachowa i tak formułkę: „proszę pana prokuratora....“

Trzecią ulgą wreszcie ma być to, iż w każdym sklepie i wogóle lokalu, którego właściciel jest uprawniony do samodzielnego prowadzenia wolnego przemysłu, będzie można ustanawiać ajencyę czasopism. Nie zyska na tem większa część prasy, której na zakładanie ajencyi zawsze pozwalano — jedyny zysk wyciągną pisma barwy socyalistycznej, którym (i to nie wszystkim) odmawiała władza ustanawiania ajencyi.

Oto i wszystko — a właściwie nic. Rozśmiesza tylko komedya, jaką odgrywają niektórzy posłowie, cieszący się, iż pierwszy raz po 32 latach uzyskali dla prasy „zdobycze“!

Na zniesienie konfiskat oświadczył zgodę pan minister sprawiedliwości, w razie gdyby sprawy prasowe odebrane zostały sądom przysięgłych. Jestto mniej więcej tak: nie uderzą cię kijem, ale skroją dziesięć razy batem. Gdyby prokuratorya miała prawo każdy proces prasowy przeprowadzać przed zwykłym trybunałem, to wobec stosunków austryackich, redaktorowie odpowiedzialni większej części pism pół życia siedzieliby w kozie, a kary pieniężne na wydawców nakładane stałyby się pięknem źródłem dochodu dla państwa, ale zniszczyłyby do reszty materyalną egzystencyę dziennikarstwa. *Unisono* więc dziennikarstwo oświadczyło: *Timeo Danaos* — za taką łaskę najpokorniej dziękuję!

O zniesieniu stempla nawet nie chciał mówić minister skarbu p. *Plener*, który przez lat dwadzieścia jako postulat liberalizmu stawiał właśnie to zniesienie. Cały rząd w zasadzie i cała koalicya uznają, że stempel jest ciężarem, bodaj, czy nie rozbojem, tak samo jak uznają, iż loterya liczbowa jest zbrodnią, popełnianą na ludności najbiedniejszej. Ale nie znoszą tych krzywd, wołających o pomstę do nieba, bo czemże zastąpić dochód z nich, kasę państwa zasilający?

Pomijam, że jest to wysoce niemoralne, przyznawać się do popełniania krzywdy i zbrodni, a ze względów finansowych dalej ten „interes“ prowadzić, ale tłomaczenie się takie jest nietylko niemoralne, lecz zarazem dowodzące (przepraszam za to wyrażenie) kretynizmu. Od czegoż bowiem jest p. minister skarbu, od czego są wielcy ekonomiści otaczający go, aby nie zapełnili, jeżeli nie w całości, to chociaż w części, luki powstałej przez ubytek dochodu ze stempla dziennikarskiego?

Przypuśćmy, że stempel został zniesiony. Od razu rozwinie się dziennikarstwo, przybędzie, lekko licząc, dwa razy tyle czasopism. Jeżeli zostanie do nich zastosowany właściwy podatek dochodowy (dziś wobec stempla wynoszący minimalną kwotę) jeżeli biedny dzienniczek będzie płacił rocznie 500 złr., a „Neue Fr. Presse“ 50,000 złr. to wobec olbrzymiego zwiększenia się liczby wydawnictw peryodycznych można przypuszczać, że skarb państwa, albo by nic nie stracił, albo by stracił bardzo mało. A byłaby wymierzona sprawiedliwość, bo wydawcy bogaci dzieliliby się swymi dochodami ze skarbem, a pisma biedniejsze, n. p. galicyjskie, zamiast każdego tysiąca, płaciłyby tylko parę setek do kasy państwowej.

Nawet i stempel można zatrzymać, a przecież go tak uregulować, ażeby nie był krzywdą. Niech płaci centa od numeru pismo, składające się z więcej jak dwóch arkuszy druku, niech płaci pół centa pismo, mające nad arkusz druku, niech inne wreszcie arkuszowe i mniej niż arkuszowe płacą po ćwierć centa — ale niech płacą wszystkie, nawet te, które wychodzą dziś raz na dwa tygodnie dla tego jedynie, aby od opłaty stemplowej się uwolnić. Dziennikarstwo wówczas także rozwinie się olbrzymio, a przy tym systemie opodatkowania stemplowego znowu pozycya dochodu z wydawnictw peryodycznych zrównoważy się ze stanem dzisiejszym. Nie będzie to całkiem dobrze, ale bądź co bądź uczciwsze.

O kolportaży ulicznej wreszcie, rząd ani słyszeć nie chciał. Widocznie panowie ministrowie mają cienkie uszy i obawiają się, aby ich nie raziły wywoływania chłopców, dzienniki sprzedających. Rzecz dziwna, bo ci panowie wzbudzają często obawę, czy nie zostali dotknięci głuchotą. Nie słyszą n. p. całkiem głośnych biadań ludności śląskiej, uciskanej przez niemców, nie słyszeli również w parlamencie prawdziwego w znacznej części przedstawienia bolesnych wypadków w Morawskiej Ostrawie. A przecież przez wzgląd na sam wzrost dochodu stemplowego powinni byli zdecydować się na sprzedaż uliczną, która dla wielu dzienników zagranicznych stanowi poważną rubrykę dochodu, a nawet podstawę bytu.

Stało się — rozkaz rządu został przez parlament wypełniony. Koalicya wytworzyła ciężką atmosferę, której jeszcze przez długi czas zapewne nie ożywi prąd świeżego powietrza.

Dziwną rolę w całej tej sprawie odegrało Koło polskie, z którego łona wyszła przecież poniekąd ostatnia inicyatywa reformy ustawy prasowej, gdyż od paru lat czytaliśmy wciąż o konferencyach zwoływanych przez posła Rutowskiego, o projektach przez niego wygotowanych, a dążących do radykalnej zmiany ustawy, o porozumiewaniu się w tym względzie z innymi klubami i t. d. Co więcej, poseł Rutowski stał się referentem odnośnej komisyi parlamentarnej i on, a nie kto inny wnosił w Izbie nowellę prasową i bronił ją przed słusznymi zarzutami przeciwników. Koło polskie więc przyjęło na siebie o d i u m tej sprawy, wyciągało kasztany z ognia dla rządu i dla miłości jego parzyło sobie ręce.

Naiwnym jednak byłby ten, co by się dziwił zachowaniu Koła. Grzeczniejszego, mniej wymagającego klubu parlamenternego nie wykaże zapewne historya państw konstytucyjnych. Zwykle przy budżecie zabierają głos jego reprezentanci jako mówcy p r o i w przemówieniach swoich występują z szeregiem stereotypowych postulatów. A to dobrze byłoby, gdyby rząd zniżył taryfy kolejowe, dobrze byłoby, gdyby liczbę sędziów powiększono w Galicyi itd. Wygadawszy to wszystko, nie słuchani przez nikogo, siadają napowrót nasi panowie posłowie na swoje fotele w przekonaniu, że sumiennie spełnili swe obowiązki. Rząd słucha ich jednem uchem, a drugiem, co usłyszał wypuszcza. Od czasu do czasu zostanie ktoś hrabią w Galicyi, mianują kogoś ekscelencyą, czasem dochrapie się ktoś fotelu ministeryalnego — i to są prawie jedyne objawy „skutecznej, patryotycznej, pełnej taktu i godności“, syzyfowej pracy Koła polskiego.

W obecnych czasach „koalicyjnych“ Koło popadło już w takie niedołęztwo, stało się takim marnym pionkiem na szachownicy parlamentarnej, że gdyby nie drukowane sprawozdania z jego posiedzeń, możnaby śmiało sądzić, że posłowie nasi przez cały czas sesyi parlamentarnej odświeżają strudzone bezczynnością głowy w Abazyi lub na Riwierze.

Kolosalnym dowodem — nie wiem, jakby to powiedzieć — niech będzie: poczciwości Koła, był już sam wybór prezesa. Nie było zapewne wypadku, aby klubowi parlamentarnemu przewodniczył urzędnik państwowy z krwi i kości, świeżo opuszczający swe urzędowe stanowisko. Pan Filip Zalelski od najmłodszych lat swoich szedł drogą karyery urzędniczej. Wspinał się po szczeblach aż został starostą, później namiestnikiem, a kiedy nie było z nim co zrobić, kiedy potrzeba było niezdolnego naczelnika administracyi krajowej, zastąpić lepszym, wynaleziono dlań posadę ministra dla Galicyi. I czy człowiek, który przez całe życie reprezentując władzę, z natury rzeczy tępił wszelkie swobodniejsze porywy, czy człowiek, który miał za zadanie pilnować praw władzy i przypominać tylko obowiązki obywatelskie względem rządu, może nagle się odmienić, stać się obrońcą praw obywatelskich i przypominać rządowi jego obowiązki? Wybór p. Zaleskiego na prezesa Koła polskiego był anomalią i pod innym względem, bo nie trzeba i o tem zapomnieć, że dzisiejszy prezes należał do zwolenników tej polityki, co sprowadziła upadek gabinetu Taaffego i wytworzyła koalicyę. Przestał być ministrem, bo działał wbrew poglądom Koła i toż Koło postawiło go na swojem czele. Trudno chyba o większą niekonsekwencyę.

Ba! ale przecież dzięki polityce Koła mamy swoich rodaków-ministrów, swoje ekscelencye na wysokich stanowiskach. Pozwalam sobie nazwać to jednem z największych nieszczęść kraju. Nie imponowała mi nigdy nasza arystokracya i nie mogę też nawet być posądzonym o popieranie jej interesów. A jednak, wypowiadam to otwarcie, wolałbym widzieć na tych najwyższych stanowiskach hrabiów i książąt, aniżeli tych, co je zajmowali i dziś zajmują. Przypuszczam bowiem, że tacy Badeniowie, Potoccy, Sapiehowie, Sanguszkowie, byleby nie słuchali doradców (bo to znowu osobny gatunek nieszczęścia — ci zausznicy wielkich panów), nie drżeliby przed utratą tek ministeryalnych, nie łakomiliby się na pensye, do którychby nawet dokładać musieli, nie uważaliby wreszcie swego stanowiska za jakieś wywyższenie, a tem samem byliby niezależnymi, starali by się zrobić coś dla kraju, chociażby przez ambicyę, choćby dla podniesienia kultu swojego nazwiska. Ale

cała ta falanga karyerowiczów, którzy już na ławkach szkolnych myślą o złotym kołnierzu i ładnej pensyi, gotowa jest zrzec się wszystkiego, wszelkich zasad i ideałów (jeżeli je posiada, bo i to jeszcze pytanie) aby tylko wznieść się w górę dla własnego doczesnego dobra. Czyż może być lepszy typ tego rodzaju karyerowiczów jak były minister Ziemiałkowski. Skrajny liberał, radykał, gwałtowny opozycyonista, zostawszy ministrem zamienił się w biurokratę, dbającego głównie o utrzymanie się najdłuższe, na stanowisku. Zmieniały się ministerya, do rządów przychodzili ludzie rozmaitych przekonań i stronnictw, a Ziemiałkowski wciąż był ministrem dla Galicyi, aż wreszcie po blisko dwudziestu latach ustąpił nie z własnej woli, lecz dla tego jedynie, aby opróżnić miejsce dla Zaleskiego, z którym, jak już wyżej nadmieniłem, nie wiadomo co było zrobić. Skazaniec na śmierć w r. 1845, zakończył swą misyę polityczną na otrzymaniu tytułu baronowskiego.*)

Równie, jak p. baron Ziemiałkowski, wszyscy inni karyerowicze odznaczali się i odznaczają sprytnem lawirowaniem, ogromną giętkością w karku, aby tylko jak najdłużej utrzymać się przy władzy. Pomaga im w tem Koło polskie, które do dziesięciu przykazań Bożych dodało jedenaste: „nie utrudniaj stanowiska swoim ministrom i swoim ekscelencyom“. Ilekolwiek bądź razy kraj czegoś natarczywie się domagał, ile razy Koło polskie było zmuszone przez opinię do popierania życzeń kraju, to zawsze odpowiadało ono refrenem swej starej piosnki: „nie możemy utrudniać stanowiska naszym ministrom.“ I dla tego też Galicya w przeciągu lat dwudziestu kilku nie otrzymała rozszerzenia swej autonomii; owszem ścieśniono ją poniekąd (przypominam odebranie Radzie szkolnej w r. 1875 prawa mianowania dyrektorów i profesorów gimnazyalnych). Kiedy dla podniesienia Wiednia — Rada państwa wotuje 50 milionów, klęski elementarne Galicyi nie wzruszają serca rządu, daremnie też po każdym wylewie spodziewamy się uchwalenia kilkunastu milionów reńskich na regulacyę rzek naszych. Wstąpienie na tron kolejowy JE. Bilińskiego zaznaczyło się tem, iż konduktorzy zamiast: g o t ó w! wołają: f e r t i g! Historya ojczysta nazywa się w szkołach „historya kraju rodzinnego“ i jest przedmiotem nadobowiązkowym, a

*) Rozmiary artykułu zmuszają mnie do uogólnienia. Czuję więc potrzebę zrobić zastrzeżenie, że nie tylko „utytułowanych“ uważam za odpowiednich do zajmowania najwyższych stanowisk — nie każdy, kto nie jest „jasnym panem“ jest już eo ipso karyerowiczem. Przypomnę takiego Zyblikiewicza. Miał on wielkie wady, ale nie byłby nigdy „malowanym“ ministrem, ani ekscellencyą „malowaną“.

1)

OLA HANSSON.

SENSITIVA AMOROSA.*)

Nowe problematy serca.

(Tłom. **Empa.**)

Na przesiąkłej kulturą roli modnego towarzystwa rośnie dziwny i rzadki kwiat, który się zowie sensitiva amorosa; koloryt jego jest przytłumiony, jak światło, przez spuszczone firanki, w pokoju chorego, a żyłki jego liści napełnione są zabijającymi sokami, delikatny zaś jest, jak znikające zorze wieczorne. Jeżeli poszukasz w twem własnem życiu i w życiu twoich przyjaciół, to znajdziesz wiele rozmaitych jego odmian, i będąc tobą, zerwałbym kilka z nich i sprzedałbym je na targu — — — — — — — — — — — — — — — — —

I.

Było to pewnego poranku, na początku czerwca, na parowcu, płynącym z Luzerny na Południe. Oddaliliśmy się już dosyć znacznie od miasta, wytwornego, lekkiego, zgrabnego, jak kawałek apetycznej rococo architektury cukierniczej, albo jak wystawa nowiuteńkich zabawek w oknie sklepowem. Jezioro Czterech Kantonów wiło się pomiędzy skałami, coraz to więcej stromemi; atmosfera, unosząca się ponad szczytami gór i wierzchołkami Alp, była przesiąkła chłodem wiecznego śniegu, i gdy się spuszczała w ciemno-zielone, bezdenne przepaście, stawała się orzeźwiającym wietrzykiem, muskającym jasno-zielone fale jeziora i mały przedmiot, płynący po nich lotem strzały, a wyglądający jak punkt o ciemnej kresce za sobą.

Na pokładzie, pod unoszącym się i spadającym dachem płóciennym, było mnóstwo ludzi — owo dziwaczne kosmopolityczne towarzystwo en miniature, które się wiecznie rozwiązuje i wiecznie na nowo tworzy, w każdym wagonie kolei żelaznej, na każdym parowcu, i w wielkim międzynarodowym pensyonacie: — w Szwajcaryi.

Siedziałem na jednej ze środkowych kanapek, a skośnie na przeciwko mnie, na ławie, ustawionej wzdłuż pokładu, zauważyłem pewną młodą parę, która razem ze mną przyjechała koleją z Lozanny do Luzerny, w jednym ze mną stanęła hotelu i teraz na tym samym parowcu w dalszą puszczała się drogę. Na liście nowoprzybyłych w hotelu był „on“ zapisany jako wyższy nauczyciel z jakiegoś małego, północno-niemieckiego miasta, a w skutek całego szeregu spostrzeżeń doszedłem do tego przekonania, że to była para nowozaślubionych, i że odbywali podróż poślubną.

On stał z twarzą, zagłębioną w Baedekerze, ona siedziała i patrzyła w dal, przed siebie, łokciem oparta o poręcz, z głową zwróconą nieco na bok. Siedząc tak naprzeciwko mnie, wydawała mi się istotą, pełną owego niepokalanego spokoju, owej plastycznej czystości, która mię od razu w niej uderzyła; nieświadoma szlachetność postaci, kształtne zaokrąglenie piersi, regularne rysy profilu, wszystko to zgadzało się doskonale z sobą. A gdy raz zwróciła twarz ku mnie, spotkałem jej oczy — były to jedne z tych, które patrzą na ludzi długo, spokojnie, śmiało, prosto w oczy, z rodzajem pewnej szlachetnej prostoty i naturalnej szczerości, z uczciwem, pytającem zaufaniem, wyrażającem coś podobnego do prośby. — On natomiast należał do tego rodzaju ludzi, którzy są pół — pedantami, a pół — szarlatanami. Postać jego była chuda i niezgrabna, ubranie leżało na nim źle — czarne, miękkie, tłuste włosy, gęste i długie w tyle głowy, spadały na kołnierz surduta — nad czołem rzadkie, zaczesane były dwoma paskami na skronie; twarz jego przypominała miękką, gładką gąbkę, — brodę miał rzadką i szorstką, za okularami oczy krótkowidza.

Twarz zagłębił zupełnie w Baedekerze — raz po raz tylko podnosił głowę, przymrużał oczy, aż się mnóstwo drobnych zmarszczek w ich

*) Jest to szereg obrazków psychologicznych, które przed niedawnym czasem zjednały młodemu autorowi rozgłos w Danii i Niemczech.

czyż może być czystsza krynica do pojenia młodzieży miłością ojczyzny? Mało brakowało do założenia gimnazyum niemieckiego w Krakowie, a gimnazyum niemieckie we Lwowie szerzy dotąd germanizacyę pomiędzy młodzieżą żydowską. Prawa sejmu zostały pogwałcone przed laty przez wprowadzenie wyborów bezpośrednich do Rady państwa. Ileż to lat ciągnęła się sprawa uzupełnienia lwowskiego uniwersytetu wydziałem lekarskim, a mamy dopiero obiecankę. Na czem się skończyła tak ważna dla kraju decentralizacya kolei państwowych? Jak wyszliśmy na indemnizacyi? o ile centralistyczne rządy lepsze stawiały co do niej warunki, niż je otrzymaliśmy za panowania „wpływu“ Koła polskiego. Poszliśmy tylko w górę pod względem podatków — nasza nafta ratowała honor budżetu austryackiego, pokrywając jego deficyt. Oto w dziesiątej części spis politycznych rezultatów naszego Koła polskiego. A trzeba jeszcze dodać, że całe wreszcie nasze zdobycze powstałe po Sadowie i wskutek Sadowy — i to za wrogich nam rządów centralistycznych — nie mają dotychczas żadnego oparcia prawnego. Udzielone zostały na podstawie uchwały ministerstwa (jednym głosem większości ministra Brestla) przez rozporządzenie cesarskie — i przez takie rozporządzenie cofnięte być mogą.

Ale Koło przyzwyczaiło się tak ulegać à tout prix rządowi, że wszelki objaw uległości dla rządu i gdzieindziej jest mu już sympatyczny. Trudno nam z daleka ocenić waszą walkę stronnictw pod panowaniem pruskiem, dla tego też sami nie wydajemy opinii w sprawie p. Kościelskiego, a pisma nasze polegają na zdaniu swoich korespondentów. Nie przeszkodziło to jednak członkom Koła polskiego manifestacyjnie powitać tego posła w Wiedniu z tej jedynie przyczyny, że trzymał się polityki uległości dla sfer najwyższych.

Za panującej nam „szczęśliwie“ koalicyi mamy już kilka ładnych kwiatów wyrosłych na niwie „pełnej godności polityki“ naszego Koła. Poseł ks. Kopyciński podniósł sprawę śląską — nareszcie! zawołaliśmy, Koło polskie przypomniało sobie o swoim obowiązku — ale w tydzień później już było wiadomem, że wnioski księdza Kopycińskiego poszły do kosza, bo nie podobało się to lewicy i szło tu między innemi o szkoły, — a jakże „utrudniać“ stanowisko ministrowi oświaty p. Madejskiemu! Wskutek zmowy górników w Morawskiej Ostrawie żandarmi użyli broni i padło trupem kilkunastu robotników polaków. Być może, iż postawa górników była przyczyną tego nieszczęśliwego wypadku, ale fakty, jakie przytaczali niektórzy posłowie, zwłaszcza fakt, iż zabito uciekających (a więc nie było „napadu“ — była ucieczka po zagrożeniu użycia broni), czego dowodziły ich rany, powinny były zmusić Koło polskie do bliższego rozpatrzenia sprawy. Tymczasem poprzestało ono na sprawozdaniu rządu, opartem na zeznaniach tych żandarmów co strzelali. Ta uległość wobec rządu doprowadziła nawet do tego, że odroczono (a bodaj czy nie zaprzepaszczono) sprawę ordynacyi ks. Czartoryjskich, tak niezmiernie ważnych dla kraju, bo idzie o ustalenie bytu wspaniałego muzeum, o zachowanie dla przyszłości pięknego zbioru dzieł sztuki, prześlicznej biblioteki (najzasobniejszej ze wszystkich w „Polonica“) nieocenionej wartości archiwów i wreszcie skarbca najdroższych sercu polskiemu pamiątek narodowych. Nawet najlojalniejszemu „Czasowi“ już tego za wiele, nawet on woła: „koalicya nie jest zapewne do tego, ażeby jedno stronnictwo oddawało drugiemu jakieś miłosne usługi w sprawach osobistych — stosunków i miłości platonicznych z lewicą nie pojmujemy!“

Niestety, piszący te słowa wybornie je pojmuje, a jeszcze lepiej pojmuje „usługi w sprawach osobistych“. Oddawna stały się one podstawą polityki Koła polskiego. Temu zaś, że tak jest, winna w znacznej części nielicująca z pojęciem konstytucyi ustawa prasowa. Za utrzymaniem jej z nic nieznaczącemi zmianami głosowało całe Koło polskie — bronił jej poseł Rutowski „liberał“, jeden z sześćdziesięciu kandydatów na ministra. Lubię tych liberałów wypiekanych z galicyjskiej mąki!

Że konserwatyści nasi nie chcieli zdjąć z dziennikarstwa gniotących ciężarów, to zrozumieć jeszcze można. Dotknięci kurzą ślepotą, oddawna nic nie widzą przed sobą i obracają się wciąż w jednem i tem samem kółku, jednych i tych samych poglądów i frazesów. Ktoś im powiedział przed laty, że zniesienie stempla, sprzedaż uliczna i ograniczenie konfiskat — to woda na młyn socyalistów — to rozwielmożnienie się złego dziennikarstwa. I wierzą temu w naiwności swojej, nie chcąc się głębiej zastanawiać nad rzeczą; i długo zapewne będą w to wierzyli, dopóki jaki zręczny okulista nie naprawi ich wzroku. Ale wtedy będzie już dla nich zapóźno. Politykowanie przy biurku w gabinecie, bez znajomości ludzi, rzeczy i stosunków, wyda dla nich przykre owoce.

Określenie zresztą dobrej i złej prasy jest bardzo trudne. Dla mnie n. p. jest dobrą — prasa umiarkowana, szanująca dobre tradycye przeszłości i dążąca ku postępowi spokojnie, bez gwałtownych przeskoków. Mogą być jej różne odcienie: jedne więcej konserwatywne, drugie więcej liberalne, ale wszystkie one stoją bliżej środka, oddalają się mniej więcej zarówno od despotyzmu z góry, jak od despotyzmu z dołu. Sądzę, że organy opozycyjne z dewizą: nec temere, nec timide za dobre również uważać należy.

Otóż dla tego rodzaju dobrego dziennikarstwa gruntowna reforma ustawy prasowej byłaby z wielką korzyścią. W dzisiejszych naszych stosunkach jedynie ono mogłoby przeciwważyć, a nawet zupełnie przytłumić knowania radykalne i kosmopolityczne. Dziś w Galicyi (mówię zawsze tylko o galicyjskich stosunkach) pierwszy lepszy zręczny agitator sieje niezgodę, ogłupia tłum ciemny dla własnej korzyści. Przeciwdziałania ze strony dobrej prasy nie ma żadnego, bo prasa ta wskutek opłaty stempla, wysokiej opłaty poczty i braku kolporterki, jest drogą, a więc nieprzystępną dla kieszeni uboższych. I jeżeli tak będzie dalej, to i bez złej prasy doczekają się nasi konserwatyści tych rezultatów, których się obawiają, bo agitatorzy zastąpią zupełnie brak złej prasy.

A czy ta zła prasa pozostałaby w Galicyi w razie prawdziwych ulg dla dziennikarstwa? Nie, przynajmniej teraz nie. Każde pismo codzienne potrzebuje mieć znaczne przy założeniu fundusze i długo dokładać zanim się wydawnictwo jego opłaci. Tych funduszów nasi radykaliści i socyaliści wszelkich odcieni nie mają — boć gdyby mieli zdobyliby się na coś więcej niż na świstki dwutygodniowe. Możeby przyszli do nich nareszcie, ale tymczasem całe lata, jeżeli nie dziesiątki lat, miałaby dobra prasa szerokie pole dla swej działalności, oddaliłaby na długo grożące niebezpieczeństwo. Pozostawienie kaucyi, dla dobrej prasy obojętne, byłoby także silną zaporą dla złej prasy.

Ba! ale potrzebaby ze strony zwolenników dobrej prasy i pewnej dla jej podtrzymania ofiarności, a o to u nas w Galicyi bardzo trudno. Są jeszcze u nas ludzie tak naiwni, co sądzą, że broszurką polityczną, lub mówką wypowiedzianą przy kieliszku, można sterować ogółem.

Ślepi i zarozumiali!

Będziemy niezadługo o nich mówili: mądry stańczyk po szkodzie. I liberał także.

K. Bartoszewicz.

Przegląd prasy słowiańskiej:

„Il Pensiero Slavo“, organ południowej Słowiańszczyzny, wychodzący w języku

---

kątach tworzyło, mrugał, szukając jakiegoś wymienionego w książce punktu w okolicy, i robił żonie jakąś historyczną lub topograficzną uwagę, podkreślając ją niejako swym uczonym tonem, aby uwydatnić jej ważność i znaczenie. Młoda kobieta skłaniała głowę, roztargiona czy zniecierpliwiona, i zauważyłem, że ile razy on podnosił głowę i patrzył uważnie wkoło, tyle razy przesuwała się po jej twarzy ciemna chmura i bolesne drżenie; zanim wymówił słowo, już wiedziała, co będzie i cierpiała pod wpływem tego oczekiwania. Zauważyłem to kilka razy, i zdawało mi się, że całe dzieje tego małżeństwa i losy tej młodej kobiety, streszczają się w owym małym, pozornie tak niewiele znaczącym znaku — jak roślina w nasieniu; wtajemniczyło mnie to od razu w życie tych obojga nieznanych mi ludzi, i podczas, kiedy parowiec przepływał wązką, jasnozieloną wodną ulicę jeziora Czterech Kantonów, pomiędzy stromemi, skalistemi ścianami, podczas kiedy Pilatus na prawo wznosił swe wysmukłe, nagie, poszarpane szczyty, a Rigi na lewo swe potężne, zielone wyżyny — siedziałem zamyślony i widziałem, jak się to życie roztaczało przedemną, jedno zdarzenie, jeden obraz po drugim, i żadne drgnienie duszy, żaden odcień uczucia tej kobiety nie uszedł mojej uwadze.

Zdawało mi się, że znałem ją, gdy była dzieckiem i młodą dziewczyną, że całe moje życie przeżyłem z nią razem i dla tego zrozumiałem ten bolesny wyraz jej twarzy, ile razy on podnosił głowę od swego Baedekera, przymrużał oczy i częstował ją historycznemi lub topograficznemi uwagami; zdawało mi się, że gdybym był wystąpił i gdybyśmy byli zamienili jedno spojrzenie i uścisnęli sobie ręce, bylibyśmy się zrozumieli, jak dwaj dobrzy, starzy przyjaciele.

Zdawało mi się, że widzę ją idącą wązkiemi, krętemi ulicami jej rodzinnego miasta o domach ze wszystkich wieków ze staremi schodami szczytowemi i wiszącemi nad niemi górnemi piętrami średniowiecznemi, z belkami pod dachem, ozdobionemi na końcach fantastycznemi rzeźbami — — idzie przez obszerny rynek, pusty i bezludny w upale słonecznym — do portu, zupełnie blisko wody, tam zatrzymuje się i opierając ręce na murze portowym, patrzy na wodę, a profil jej twarzy rysuje się wyraźnie na tle bladego nieba. Wieczór się zbliża, słońce chyli się ku zachodowi i wkrótce zupełnie zniknie, mewy przelatują z głośnym krzykiem, a morze rozciąga się daleko w silnych, rozbujałych falach; jej własna zaś dziewicza dusza jest podobną do tej nieskończonej, zmiennej, oblanej słońcem powierzchni, nad którą mewy przelatują i krzyczą — wszystko ogromne, puste, pełne spokoju, pełne tkliwej zmienności uczuć i wirujących, bojaźliwych, krzyczących myśli, które się zwolna uspokajają i milkną.

Albo — w jesienny wieczór siedzi cała rodzina dokoła lampy, w obszernym, nizkim pokoju, o wązkich oknach i owej starożytnej, kosztownej wytworności w urządzeniu, która działa na nerwy, jak woń przechowanych owoców zimowych; panie siedzą przy stole i milcząc pracują; stary konsul trzyma się nieco na uboczu, w półcieniu, rozparty w swym fotelu i pali wieczną fajkę — raz po raz pada ciężko jakie słowo w to milczenie, jak w przepaść, i cisza zamyka się nad niem jeszcze szczelniej; krople deszczu uderzają w okna, a wiatr dmie od morza, rozbija się o ściany i wyje w kominach, jak gdyby chciał się dostać do domu; ona podnosi czasem głowę i wyciąga zbolałą od zmęczenia rękę, — opuszcza robotę na kolana i słucha z wyłęknionem, zdziwionem spojrzeniem — bo zdaje jej się, że słyszy jakieś napomnienia i przestrogi, że jakieś niebezpieczeństwo jej grozi, albo strata czegoś, czego już nigdy nie odzyska, i że słyszy w głębi samej siebie owe ciche, dziwne jęki, ów nagły, przytłumiony krzyk, z którym wicher tej nocy przeciąga ponad miastem.

I oto pewnego wieczoru jest „on“ tutaj w tym obszernym, nizkim pokoju. Stary konsul pali w półcieniu fajkę, panie siedzą pochylone nad robótkami, a „on“ opowiada. Ona podnosi raz po raz głowę i patrzy na niego swem przeciągłem, otwartem spojrzeniem: on tak niepodobny do tego wszystkiego, co dotychczas widziała — zupełnie inny, jak młodzi mężczyźni

włoskim w Tryeście pisze pod nagłówkiem: „Slavofilia e Panslavismo“, co następuje:

„Od Morza Lodowatego do granic japońskich, od Bałtyku do Morza Czarnego, od Chin aż ku siedzibom niemieckim mieszka jeden szczep — mało różniący się pomiędzy sobą pojęciami etnicznemi, który z jednej strony trzyma w szachu hordy mongolskie, z drugiej stoi na straży przeciw przewadze niemieckiej.

„Wielkie kanały, drogi rzeczne i koleje żelazne nie dają mu tak bardzo odczuwać oddalenia; linia transsyberyjska prowadzi w 15 dniach z Moskwy do Władywostoku nad Morze Japońskie, gdy druga kolej z Michałowa nad Morzem Kaspijskiem wiedzie ku granicom posiadłości indyjskich Anglików.

Ta okoliczność, że Słowianie posiadają tak znaczną przestrzeń lądu stałego daje im przewagę nad Anglią, panującą nad wodami, która zresztą w swych licznych posiadłościach zamorskich posiada słabe, łatwe do zdobycia punkty.

„Centrem Słowiańszczyzny i jej jądrem jest Rosya, która koncentruje całą sumę potęg w osobie samodzierżcy cara i stanie się wykonawcą myśli słowiańskiej. (!) Dwojakie są tej myśli zadania: odmładzanie i gwałcenie (!). Te dwie tendencye są słowianofilizmem i panslawizmem.

Pierwsza jest ruchem reakcyjnym wobec cywilizacyi zachodniej, druga jest akcyą ograniczoną do pewnego punktu i czasu.

„Propaganda, która wypływa z tych dwóch tendencyj bywa uzupełnianą jedna przez drugą, obie wspierają: literatura, dziennikarstwo, religia, a nawet filantropia, których celem rozszerzanie idej słowianofilskich i panslawistycznych.

„Słowianie odzywają się do Germanów i Romanów w te słowa:

— Nie możemy brać udziału w waszym ruchu cywilizacyjnym zachodnim, ponieważ jesteście do gruntu zgniłymi. (!) Jesteśmy młodzi, Słowiańszczyzna jest jutrzenką wschodzącą na niebie.

„I tak jest w rzeczywistości. Długo uśpiony ród słowiański manifestuje z energią na każdym polu ducha ludzkiego, w sztuce, literaturze i nauce, a we wszystkiem objawia się siła młodzieńcza młodego mocarstwa intelektualnego....“

* * *

Organ Serbów węgierskich „Zastawa“ pisze:

„O ile daje się z linii ciągle zmieniającego się barometru politycznego w Serbii wykreślić szkic sytuacyjny, o tyle zdaje się, że sympatye Serbów zwracają się coraz wyraźniej ku stronie Czarnogórza, nie tak ku Karageorgiewiczom, jak ku księciu Nikicie samemu. I w rzeczywistości książę Nikita jest postacią zdolną do wywierania wpływu magnetycznego na lud serbski. Jest on jednym z tych ludzi, których Pan Bóg stworzył na bohaterów. Wzrostem olbrzym, obdarzony nadzwyczajnemi siłami fizycznemi, a na twarzy jego pięknej ujawnia się energia i odwaga, niczem nie pokonane. Fantazya iście poetycka popycha go do czynów śmiałych, którymi atoli kieruje rozum męża stanu.

„Książę Nikita żywi w swoim wnętrzu plany sięgające daleko. Marzy on o unii wszystkich narodów bałkańskich, zjednoczonych pod jego berłem.

„Przyszłość go zrozumie. przyszłość może nie tak odległa, jakby się mogła wydawać. Na pierwszy rzut oka wydaje się, iż plany takie są wysnute fantazyą dziecięcia, atoli nie brak czynników, mogących te plany posunąć od razu daleko ku rzeczywistości.

„Czarnogórze jest państwem mikroskopijnem na karcie europejskiej, ale za niem stoi Rosya. Car goszcząc księcia u siebie, nazwał go swym jedynym przyjacielem, a obie córki Nikity wyszły za wielkich książąt rosyjskich. Dziś na bałkańskim półwyspie jest Rosya tem państwem, którego wpływ jest najpotężniejszym. Jeżeli Rosya wesprze księcia Nikitę, jest prawdopodobnem, że jego marzenia stracą na mglistości i od razu wkroczą w sfery rzeczywistości.

„Serbowie uważają księcia Nikitę za jednę z najszlachetniejszych postaci, które ich naród wydał; sympatye i wiara, jakie w niego pokładają nie mają granic.

„On to jest tym pretendentem, który w niedługim może czasie rzuci cień na tron Obrenowiczów. Jeżeli jest prawdą, że Nikita na seryo ubiega się o berło serbskie, i jeżeli Rosya rzeczywiście nosi się z zamiarem wsparcia go w tych usiłowaniach, to jest on najgroźniejszym nieprzyjacielem hr. Takowy, któremu świeżo powierzono godność domu panującego...“

* * *

W głównym organie Słowaków w „Narodnich Nowinach“, wychodzących w Turczańskim św. Marcinie, znajdujemy artykuł pióra Hurbana Vajanskiego o stosunku Rosyi do Watykanu i Polski:

„Znana encyklika Ojca św. do biskupów polskich przekonała wszystkich nieuprzedzonych, że pomiędzy Watykanem a Rosyą zapanowały stosunki przyjazne. Polska wypowiedziała z powodu tej encykliki formalną rewolucyę (!?) Ojcu św., wytaczając cały inwentarz wiekopomnych czynów swoich, które dla dobra katolicyzmu spełniła (w czem zresztą miała zupełną słuszność a potępiając pokój, który się przygotowywał pomiędzy wielkiem prawosławnem państwem, a Rzymem.

„Nagle zjawia się nowa zdobycz kuryi. Rosya mianowała urzędowym przedstawicielem przy Watykanie dotychczasowego swego posła Izwolskiego. Ta nominacya jest koroną działalności i zabiegów dyplomacyi rzymskiej, jest zwycięstwem papieża nad potężnymi wpływami antyrosyjskiemi w Watykanie, których duszą jest kardynał Ledóchowski. Tak stała się Rosya pierwszem mocarstwem niekatolickiem, które przy kuryi ustanowiło urzędową dyplomatyczną ambasadę. (!)

„W Watykanie panuje ztąd wielka radość; zadowolenie panuje też w Rosyi ze względu na to, iż licznymi są mieszkańcy katoliccy w państwie. W interesie Rosyi leży, aby różnice religijne nie zaostrzały się tak bardzo, a na tem zależeć jej powinno tem bardziej, że prawie wszyscy katolicy rosyjscy należą do tego samego szczepu słowiańskiego co Rosyanie.

„Jeżeli Rzym nie będzie popierać i zaostrzać tych przeciwieństw, wówczas zniknie możliwość, aby przyszło do takich wypadków, jakie się działy w roku 1830—31 i 1863. Prawosławie nie było nigdy agresywnem (!!!???) to świadectwo wyda mu każdy nieuprzedzony nieprzyjaciel (!!!???), toć Jezuici to byli, którzy propagandę katolicką ponieśli na Ruś prawosławną. Nieprzyjaźń polsko-rosyjska nie ma swego korzenia w różnicy narodowej (?!) lecz w agresywności i wojowniczości katolicyzmu. który stał się powodem krwawych walk Kozaków zaporozkich z Polakami. Rewolucyjna propaganda polska szła z różańcem i litanjami. (!?)

„Jeżeli Rzym przyjdzie do przekonania, że zgoda z Rosyą jest mu konieczną, to pokój ten nie będzie bez wielkich następstw dla Polaków i Rosyan. Świadczy to o wielkiej mądrości politycznej Leona XIII, że zerwał ze staremi tradycyami, które Polskę przywiodły do zguby.

„Wielki historyczny moment leży w tem porozumieniu się Rosyi z kuryą ze względu na Słowiańszczyznę.

„Rosyjsko-polska kwestya jest najważniejszą w całej Słowiańszczyźnie. Gdy już porozumienie pomiędzy Rosyą a Rzymem nastąpiło, kwestya ta zbliżać się będzie szybkimi krokami ku rozwiązaniu. W życiu wielkiego szczepu słowiańskiego pokój Rosyi prawosławnej z Rzymem to fakt niesłychanie ważny.“

* * *

---

w jej rodzinnem mieście — zachowanie się jego jest swobodniejsze, a zarazem pełniejsze szacunku — przez cały wieczór nie stracił jeszcze ani jednego słowa o deszczu i wichrze — przybywa prosto z wielkiego świata do ich ustronnego kąta i mówi tylko o wielkich, ważnych sprawach. o niczem zwyczajnem i pospolitem — traktuje najcięższe nauki, jak gdyby były abecadłem i rozmawia o sławnych ludziach tak, jak o swoich zwykłych znajomych. Wszystko tajemnicze i niepojęte, z czego się życie w wielkim świecie, w jej przekonaniu. składa — to, czego sobie nigdy nie umiała jasno wyobrazić, a co ją jednak nieokreśloną jakąś tęsknotą przejmuje, ile razy o tem myśli — wszystko to zbliża się teraz do niej cudownie — czuje się nagle wśród tego, i zaczyna się zupełnie ze wszystkiem oswajać. A to wszystko stało się za jego sprawą i więcej jeszcze: nie wiedząc nawet o tem, zespala się z nim tak, że już nic jej od niego oderwać nie może, im bardziej wżywa się w to nowe życie, które pod wpływem jego rozmowy coraz to bujniej dokoła niej się rozwija, tem bardziej się z nim jednoczy, naturalnie, jak z czemś zupełnie nieosobitem, w rzeczy samej tylko ze swemi własnemi marzeniami — gdy jedna z sióstr robi pewnego dnia pierwszą żartobliwą uwagę czuje się dumną, jak gdyby ją spotkał jakiś zasłużony zaszczyt.

Noc poślubna — podróż we dwoje, tylko kilka dni niestety.... i siedząc teraz na parowcu na jeziorze Czterech Kantonów, z łokciem opartym na poręczy, z głową na bok odwróconą, nie może pojąć, że jest tą samą, która niedawno jeszcze żyła w małem mieście nad morzem u ojca i matki; albo może to on tak się zmienił — stoi tam, z twarzą ukrytą w Baedekerze, ze swoją chudą, niezgrabną postacią, z wiszącem na niej ubraniem, wytłuszczonym kołnierzem u surduta, tłustą, miękką, jak gąbka, twarzą, i mrugającemi, krótko widzącemi oczami. Teraz, gdy się sama znajduje wśród cudów przyrody, gdy życie wielkiego świata rozwija się dokoła niej w całej pełni, gdy patrzy na wszystko własnemi oczami i do wszystkiego się zbliża tak poufale, że potrzebuje tylko rękę wyciągnąć, aby całą quintessencye, pochwycić swymi najwrażliwszymi nerwami, teraz rozdziela się to, co dawniej jednem było — teraz odłącza się „on“ jak coś, co nie należało do całości, a zarazem nie jest on już takim, jakim był dawniej — stał się obcym człowiekiem, którego nigdy nie znała — brzydką gąsienicą, która jej pełza po ręku, zimna i miękka — obcym wstrętnym dla niej człowiekiem, — w nocy brutalnem zwierzęciem, we dnie szkolnym pedantem. o mózgu napełnionym historycznymi i topograficznymi faktami, które tam leżały pięknie uporządkowane, jak na półkach i w szufladach. Całymi dniami męczy się nerwowem oczekiwaniem następnego jego nowego konceptu, a wieczorem, gdy idzie na spoczynek i w hotelu wszystko się ucisza, kurczy się przerażona, z obrzydzenia, w oczekiwaniu chwili, w której na swej twarzy uczuje jego zimną, miękką twarz, jak lepkiego robaka, i jego drżącą rękę.... Jest ona jak człowiek, któremu się we śnie zdaje, że go ktoś goni — biegnie i biegnie, aby się ratować, a jednak się z miejsca nie rusza, który chce krzyczeć, a ust otworzyć nie może.

I gdy tak roztrząsałem życie i badałem najtajniejsze wnętrze jej duszy, widziałem nie tylko jej przeszłość, ale i przyszłość: widziałem, jak owe bolesne drganie zwolna zagłębiało się na tej młodej szlachetnej twarzy, aż się zamieniło w dwie głębokie zmarszczki po obu stronach ust, a zmarszczki te niczem się wygładzić nie dadzą; widziałem, jak wyraz tego jasnego, myślącego spojrzenia czerpał coraz więcej ze źródła cierpienia, które nieustannie przepełniało jej duszę — jak to spojrzenie nabierało wyrazu niemej, pytającej bezsilności, zagłębiając się w sobie i zakrywając się, jak gdyby brutalne, bezczeszczące ręce rozdarły na pół zasłonę najświętszych uczuć jej duszy.

W Vitznau wysiedli na ląd, aby jechać do Rigi i widzieć wschód słońca.

Konserwatywny „C z e c h“ takie poświęca uwagi stosunkom na Morawie.

„Młodoczesi swoim liberalizmem i husytyzmem wycisnęli piętno na wszystkich objawach naszego życia narodowego. Rozkład powszechny to ich dzieło. Hydra młodoczeskiego liberalizmu święci w Czechach orgie, natomiast na Morawie ma ona przeciwnika potężnego w narodowych związkach, gęsto po kraju rozrzuconych.

„Młodoczesi na Morawie mieli łatwe stanowisko wobec Staroczechów, których serwilizm wobec rządów hr. Taaffego był znanym.

„Staroczesi morawscy pod wodzą Fanderlika skapitulowali, ale na ich miejscu powstaje nowe stronnictwo narodowo-konserwatywne pod wodzą duchowieństwa, które dotychczas wpływ swój na lud zachowało.“ *K.*

BADANIA NAUKOWE.

DOŚWIADCZENIA LUYS'A.

Można doznawać żywej radości, znajdując faktyczne uzasadnienie jakichś szeroko upowszechnionych, a niedorzecznych wierzeń przeszłości. Przekonywamy się wtedy, że umysłowość ludzka nie jest ani tak łatwowierną, ani tak nielogiczną, jak kazały przypuszczać dziwne jej „przesądy“. Natomiast dowiadujemy się, że umysł naszych przodków, tak samo jak i logika ich odległego potomstwa, zawsze usiłował wyprowadzać wnioski z przesłanek, oraz, że wnioski te, wobec danego zasobu kultury ówczesnej, nie były gorsze od naszych. Jeżeli przy rozumowaniu pomijano pewne fakty, przeczące ostatecznym wywodom, to działo się tak po prostu dla tego, że faktów tych nie znano.

Bardzo często dziwimy się błędności jakiegoś twierdzenia, nie zdając sobie jednakże sprawy, co nam właściwie błędność tę wyświetla. Skłonni jesteśmy sądzić, że stanowi ona jakiś przymiot widoczny i namacalny, kiedy tymczasem wszelki błąd rozumu świadczyć musi o niezgodności faktów doświadczenia, zaś niezgodność taką wykryć można dopiero wtedy, gdy fakty są już znane i kiedy dzięki bądź przypadkowi, bądź też systemacznemu badaniu, będą zestawione i porównane. Tak np. niepodobna pomawiać o nielogiczność umysłu, który w płomieniu widzi wywiązywanie się z płonącego ciała jakiejś materyi ognistej, jeżeli umysłowi temu nie jest znany fakt, że po spaleniu ciało nie tylko nie staje się lżejszem, ale przeciwnie zyskuje na wadze.

Nieznajomość faktycznych podstaw, na których przodkowie nasi budowali błędne w naszych oczach teorye, wielokrotnie bywała już przyczyną niesłusznego pomawiania ich o nielogiczność. Dzieła dawniejszych podróżników przepełnione są szczegółami o „niedorzecznych“, „niemoralnych“ albo „dziwacznych“ poglądach i zwyczajach ludów pierwotnych, i dopiero badania późniejsze wykazywały, że sąd ten surowy bywał tylko wyrokiem pewnej kultury, nie znającej ani podstaw, ani warunków rozwoju kultury innej. Dość byłoby wspomnieć prace Spencera, Tylora, Lubbocka i Morgana, aby uprzytomnić sobie, jak często owe „niedorzeczności“ umysłów pierwotnych znajdowały usprawiedliwienie.

Ale na tem też powinna byłaby się kończyć nasza rehabilitacya przeszłości. Pamiętając, że umysł ludzki, w dążeniu swem do wykrycia prawdy, wyprowadzał zawsze wnioski najlogiczniejsze w danych warunkach kulturalnego rozwoju musimy też wiedzieć, że wobec danego zasobu poznanych i zbadanych faktów prawda wykrytą być nie mogła, że bardzo często zadawalano się tylko jej pozorem i, że nawet sformułowania całkiem poprawne bywały rzeczą szczęśliwego zbiegu takich pozorów: nie zaś owocem zbadania wszystkich istotnych czynników zjawiska. O ile niedorzecznem jest potępianie jakiegoś „barbarzyńskiego“ zwyczaju ze stanowiska kultury naszej, nie podlegającej już nieraz warunkom, które ów zwyczaj zrodziły, o tyle też szkodliwą dla historyi myśli ludzkiej jest owa „modernizacya“ poglądów dawnych, owo przypisywanie im takich uzasadnień, takiego rodowodu, jakim pochwalić się mogą one dzisiaj. Ateizm umysłu pierwotnego jest filozoficzną obojętnością barbarzyńcy, który nie uczuwa jeszcze potrzeby pewnych uogólnień, ateizm spółczesnego niedowiarka jest filozofią umysłowości takiej, której uogólnienie pewnego typu (teologicznego) nie wystarcza. Podobieństwo jest tutaj tylko pozorne.

Uwagi powyższe, przyszły nam teraz na myśl po przeczytaniu niektórych sprawozdań dziennikarskich o najnowszych doświadczeniach Luys'a.

Naczelny lekarz szpitala Charité zawiadomił niedawno paryską akademię lekarską, że udało mu się dokonać ciekawych doświadczeń, stwierdzających słuszność niektórych poglądów dawniejszych.

Osoby zahypnotyzowane odznaczają się czasem, jak wiadomo, szczególnem znieczuleniem albo też nadczułością zmysłów. Dzięki temu widzieć one mogą i widują zjawiska niedostępne wzrokowi zwykłych śmiertelników. Naprzód, o ile wierzyć mamy sprawozdaniu, na dwu przeciwległych końcach igły magnesowej osoba zahypnotyzawana widuje płomyki barwne: czerwony płomyk wydobywać się ma u bieguna dodatniego, niebieski ukazuje się na ujemnym. Dalej podobną biegunowością „płomykową“ odznaczać się też mają ciała ludzi i zwierząt: prawe oko, ucho, nozdrze i t. p. wydaje ze siebie płomień czerwony, lewe — niebieski. Linia środkowa ciała, (grzbiet nosa i t. p.) odznacza się zabarwieniem żółtem. Żywość barw zależy od stanu zdrowia osoby, obserwowanej przez hypnotyka. Dzięki temu owa hypnotyczna obserwacya osobników staje się dzielnym sprzymierzeńcem dyagnozy lekarskiej, organy chore, np. znieczulona powierzchnia skóry, robią na uśpionym wrażenie plam ciemnych.

Aby choć w przybliżeniu określić ź r ó d ł o płomyków, Luys przedsięwziął doświadczenie następujące. Obnażywszy prawą półkulę mózgu psa żywego, pokazano ją zahypnotyzowanemu; spostrzegł on tam „żywy płomień czerwony“; odsłonięcie półkuli lewej dało mu wrażenie barwy niebieskiej. Trup, zarówno ludzki jak i zwierzęcy, po upływie pewnej liczby godzin od chwili zgonu wydaje się hypnotykowi ciałem ciemnem i budzi w nim trwożną odrazę.

Wyrokować o wszystkich tych dziwach można byłoby tylko po należytem ich sprawdzeniu doświadczalnem. Stwierdzenie podobnych faktów nie byłoby ani trochę dziwniejszem od wykrycia tysiąca prawd i zjawisk innych. Niema w świecie znanych nam zjawisk ani jednego, któreby uprzedzało nas, że podobne „płomyki“ istnieć n i e m o g ą. Należałoby tylko zachować tutaj (jak zwykle w takich razach) wszelkie możliwe ostrożności ze względu na możliwą suggestyę, albo autosuggestyę hypnotyków. Być może, iż nowe poszukiwania w tym zakresie przekonałyby nas tylko, nie o istnieniu płomyków, lecz o przenoszeniu się jakichś prądów energii nerwowej z mózgu lekarza do mózgu osoby zahypnotyzowanej. Bądź co bądź, kontrola, jakkolwiek bardzo trudna, nie jest tu niemożliwą, zaś piśmiennictwo przedmiotu upoważnia raczej do twierdzącego, nie zaś przeczącego rozwiązania tej wątpliwości. Co do spostrzeżeń Luys'a, to, o ile wierzyć mamy sprawozdaniom z drugiej ręki — jeden bardzo znaczący fakt pozwala tu domyślać się udziału autosuggesty Oto, nieoświecony pacyent widzi płomyki czer.

5)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

Co innego następuje zupełnie, gdy na mocy twierdzeń podobnych usiłuje publicysta rosyjski usprawiedliwić przed światem dokonany za współudziałem Rosyi rozbiór obcego kraju. Teorya jego naówczas redukuje się do następnego wyrażenia: „Polska nie utworzyła silnego rządu i administracyi, popadłszy w anarchię — reformy przyszły zapóźno i nie w porę — nic przeto dziwnego, że my, sąsiedzi, czując się od niej silniejszymi, napadliśmy na nią i rozebrali.“ Rzecz oczywista, że dla historyozofów, których pogląd nie może się wznieść wyżej po nad politykę powodzenia, politykę pięści i siły, twierdzenie takowe samo w sobie nie będzie przedstawiać nigdy nic rażącego, będzie bowiem skonstatowaniem najzupełniej naturalnego faktu. Gdy atoli nauka w wyższem jej i prawdziwem znaczeniu domaga się w dziedzinie historyi śledzenia interesów ludzkości, gdy zadaniem jej rzeczywistem jest potępiać to wszystko, co nosi na sobie cechę gwałtu i bezprawia, a natomiast podnosić to, co dąży do urzeczywistnienia i rozpowszechnienia pojęć i pierwiastków moralnych — wyższych od brutalnej siły pięści, naówczas twierdzenie powyższe wydać się musi każdemu poszukującemu celów wznioślejszych wyrokiem potępiającym w zasadzie nie Polskę i jej społeczeństwo, lecz stronę przeciwną. Podobnie marną i poziomą historyozofią jak ta, której próbkę mamy w poglądach p. Kariejewa, usprawiedliwić można wszystko. Czyniąc Polsce, jak to czyni p. Kariejew, zarzuty*) że „pozwoliła powstać u siebie pod bokiem państwu niemieckiemu, które stać się mogło i stało się też — niebezpiecznem dla niej“, należałoby z równem prawem uczynić jej zarzut, że przyzwoliła na wzrost sąsiedniego państwa moskiewskiego, a natenczas i wyprawy Polaków na Moskwę w dobie Samozwańców, oraz upamiętnione niedolą tego kraju lata 1611 i 1612 musiałyby być w zupełności, odnośnie do Polski, usprawiedliwione, czemuż bowiem nie miała gnębić państwa moskiewskiego, kiedy to się dawało uskutecznić. Z tego punktu zapatrywania należałoby tylko żałować, że nie zniszczyła tego państwa do szczętu, nie obróciła go w poddańczość, poglądy bowiem tego rodzaju usprawiedliwiają zawsze przewagę siły.

Dziwić się zaprawdę należy, że p. Kariejew, wzorem innych pisarzy rosyjskich, obstaje za tem, iż inicyatywa rozbioru Polski wyszła nie od Rosyi, lecz od Fryderyka II**) wobec bowiem jego wnioskowań okoliczność ta jest najzupełniej obojętną. Powiada on,***) że przy bardziej silnych nawet urządzeniach Rzeczypospolitej, wcześniej, czy później Rosya i Prusy poczęłyby dążyć, jedna do wchłonięcia w skład swój wszystkich ziem ruskich, druga do nabycia tego, co również nazywało się Prusami“ i w tym punkcie rozczarowywa stanowczo p. Bobrzyńskiego z jego złudzeń. Pan Bobrzyński i Kalinka, jak wiadomo, wypowiadali przekonanie, iż Katarzyna nie miała by nic przeciwko istnieniu niepodległej Polski, byleby Rzeczpospolita nie sprzeciwiała się jej zamiarom i, że z tego względu przechylenie się

*) str. 373.
**) str. 375.
***) str. 372.

wone nie tylko w narządach zmysłów prawej strony ciała, ale i w prawej półkuli, która jest źródłem energii nerwowej dla narządów połowy... lewej.

Sprawę tę rozjaśni nam przyszłość — zapewne niedaleka. Teraz chcielibyśmy zwrócić uwagę na fakt inny — na skwapliwe wyzyskiwanie tych nowych odkryć, gwoli przestarzałym poglądom naukowym, na „modernizacyę" dawniejszych teoryj.

Jedno z polskich czasopism, powtarzając niewolniczo sprawozdanie paryskiego „Revue des Revues", naprzód nadało owym światełkom nazwę „fluidu życiowego", a następnie zakończyło opowieść sentymentalno-ignoranckim okrzykiem: czyżbyśmy mieli powrócić do dawnej emisyjnej teoryi światła!

Co do nazwy fluidu, to dotychczasowe spostrzeżenia Luys'a, bynajmniej na jej korzyść nie przemawiają. Tylko łatwo zapalna i trochę blagierska wyobraźnia francuzów oraz bezkrytyczność kuryerkowego sprawozdawcy-tłómacza, mogły na podstawie czysto zewnętrznego podobieństwa wskrzesić upiora dawnej fizyologii*). O ile uznamy fakt istnienia „płomyków", będziemy mieli do czynienia po prostu ze zjawiskiem światła, z nowem jego źródłem, które wszakże tak samo nie każe domyślać się fluidu, jak np. paląca się lampa, albo lepiej, jak kawałek rozpalonego, świecącego się metalu. Ustrój człowieka jest siedliskiem przeróżnych spraw fizyko-chemicznych; jako następstwo ich może związać się w nas i wywiązuje się istotnie ciepło, które nieustannie z powierzchni naszego ciała promieniuje. Ciepło z natury swej jest niedostrzegalne dla oka, niemniej jednak promieniowanie ciepła, rozchodzenie się jego w przestrzeni, a dalej stygnięcie naszego organizmu nie ulegają wątpliwości. Czyż dla tego mamy uważać ciepło za fluid życiowy, ulatniający się z nas powoli? Albo czyż mamy odmawiać mu tej nazwy dla tego tylko, że jest ono niewidzialne? Podobnie też zdarzyć się może, iż zachodzące w organizmach procesy bywają źródłem światła — zbyt słabego, zresztą i działającego li tylko na siatkówkę niepospolicie czułą. Ale fakt taki nie dawałby nam ani prawa, ani powodu do wskrzeszania fluidu życiowego. W przeciwnym razie musielibyśmy upatrywać takiż fluid w kawałku węgla, dogorywającego np. niebieskawym płomykiem.

Równie dowolnem i niedorzecznem byłoby też wskrzeszanie emisyjnej teoryi światła na podstawie doświadczeń Luys'a. Wogóle, sądziłbym, że wydawcy gazet intratnych, znają się doświadczalnie tylko na emisyach pewnej kategoryi i o tych też mogą rozprawiać. Metafizyczne domysły co do istoty zjawisk powinni byliby pozostawić komu innemu.

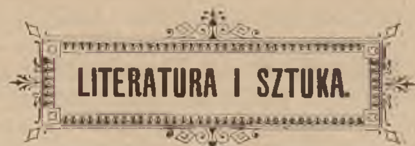
Ukazywanie się płomyków nie tylko nie przemawia na korzyść dawnej teoryi światła, ale jak sądzę mogłoby raczej posłużyć ku umocnieniu najnowszego i nie zupełnie jeszcze opracowanego poglądu na przyrodę zjawisk świetlnych. Niezbyt dawno ukazała się w świecie naukowym tak zwana „elektromagnetyczna" teorya światła. Twórcą jej był Maxwell, który najpierwej, na podstawie pewnych rozumowań ogólnych, spokrewnił zjawiska elektromagnetyczne ze zjawiskami światła. Nieco później, już po śmierci Maxwella, prof. Herz z Karlsruhe, znalazł doświadczalne potwierdzenie owego pokrewieństwa, a raczej tożsamości tych dwu rodzajów zjawisk. Specyaliści uważają elektromagnetyczną teoryę światła za najpiękniejszą zdobycz teoretyczną naszego wieku. Istotnie, rozjaśnia i posuwa ona wiedzę naszą jak najzupełniej w duchu nauki nowoczesnej, w duchu ujednostajnienia różnorodnych sił i zjawisk przyrody.

Z owej elektromagnetycznej teoryi wynika, że gdybyśmy mogli zmieniać dość szybko kierunek promieni energii elektromagnetycznej, promienie te poczęłyby się świecić. Otóż, wiadomo naprzód od dawna, że ustrój nasz w ogólności, zaś szczególnie układ nerwowy jest siedliskiem pewnych zjawisk elektrycznych i, jak chcą niektórzy, magnetycznych. Przypuścić wolno, nie narażając się na zarzut zbytniej śmiałości, że w organizmie naszym, w mózgu i nerwach, posiadających, jak wiadomo, budowę bardzo subtelną, istnieją właśnie warunki, sprzyjające niezmiernie szybkim zmianom kierunku promieni elektrycznych. Istotnie, łatwość i szybkość ruchów cząsteczek nerwowych dodaje przypuszczeniu temu wiele prawdopodobieństwa. Nakoniec przypuścić można, że wskutek bardzo małej skali owego przeobrażania się energii elektrycznej na świetlną, ta ostatnia dostępną bywa li tylko oczom, pozostającym w stanie nadczułości.

Tak więc, nowo-zauważone zjawisko będzie, jak sądzimy, sprzymierzeńcem nowych, nie zaś wskrzesicielem starych teoryj: jednocześnie kazałoby ono mniemać, iż przodkowie nasi tworząc owe „stare" teorye, nie kierowali się li tylko fantazyą, lecz, że wysnuwali oni wnioski, na jakie jedynie pozwalał im ówczesny stan kultury.

J. K. Potocki.

*) W stopniu daleko znaczniejszym o istnieniu fluidu życiowego mogłyby świadczyć obserwacye Rochas'a, dotyczące eksteryoryzacyi czucia. Ale i tutaj w razie stwierdzenia — mielibyśmy prawdopodobnie tylko jakąś odmianę energii promienistej.



POLKA
w ciągu bieżącego stulecia.

VI.

(Rzut oka na chwilę obecną).

Przebiegłszy myślą szereg zmian, jakim ulegały poglądy na przeznaczenie i stanowisko kobiety w ciągu kończącego się wieku, każdy zada sobie zapewne pytanie, do czego doprowadziły nas owe dążenia, prace i walki w celu podniesienia jej umysłowego poziomu i rozszerzenia zakresu jej wpływów podjęte? — Jakiż jest rezultat tych wszystkich zabiegów i starań? Cóż na nich zyskały kobiety, jakie korzyści ogół osiągnął?

W narodzie takim jak nasz, w narodzie któremu nie dano praw dla siebie stanowić, starych instytucyj znosić, zmieniać i ulepszać, a nowych stwarzać i w miarę potrzeby przebudowywać i rozszerzać gmachu społecznego — wszystkie nowe prądy, wszystkie przez ducha czasu narzucone reformy jedynie tylko w zakresie pojęć, wyobrażeń i zwyczajów działać mogą. — Naród żyje dojrzewa, kształci się, lecz dojrzałości swej ani postępu na zewnątrz manifestować nie może. Duchem dorasta stopniowo do cywilizacyjnego poziomu zachodniej Europy — zewnętrznie jednak rządzony jest prawami na czysto azyatyckich opartymi zasadach. — Z tem ogólnem położeniem narodu pozostaje w związku stanowisko społeczne jego kobiet.

Zwycięztwo ich jedynie na tem polega, co w granicach istniejącego porządku same zdobyć mogły, zdobyły więc nie prawa lecz wpływy. — Z chwilą gdy myśleć i pracować zaczęły, myśli ich i prace wsiąkły w krew i żyły narodu, stały się jednym ze zdrowych pierwiastków jego organizmu i wraz z innemi przyczyniają się do podtrzymania jego życia, ruchu i rozwoju.

Najdonioślejsze zmiany spostrzedz się dają w wychowaniu kobiet. — Zakres ich wykształcenia podniósł się znakomicie, nie poprzestają jak niegdyś na nabyciu talentów, wprawy w obcych językach i zręczności w robótkach kobiecych, lecz seryo uczą się historyi, literatury, słuchają wykładu nauk przyrodniczych i powoli do matematyki wstrętu się pozbywają. — Ci,

---

w Polsce stronnictwa patryotycznego na stronę Prus było największym błędem politycznym, gdyż stanowiło bezpośredni powód do wojny Polski z Rosyą. Pan Kariejew twierdzi, „że w razie nawet innego rozwiązania, niż to, które miało miejsce w rzeczywistości; wcześniej czy później stary spór rusko-polski, zapomniany nieco w wieku XVIII, musiałby się znowu rozstrzygnąć, a naturalne rozstrzygnięcie jego polegało właśnie na odłączeniu od Rzeczypospolitej tego, czego jeszcze brakowało do „Wszech Rusi." Polska zachowująca swą całość i byt polityczny w związku z Rosyą, nie mogłaby pozostać na zawsze w granicach roku 1772."*) I otóż mamy na ostatniej niemal stronnicy dzieła wypowiedzianą przyczynę upadku Polski, wobec której niby nie pomogło jakiekolwiek inne rozwiązanie sprawy polskiej — czyli innemi słowy nie pomogłoby do ocalenia Polski ani stawiane przez p. Bobrzyńskiego za warunek przymierze i związek jej z Rosyą, ani też upragniona przez patryotów w końcu XVIII wieku reforma jej politycznego ustroju, chociażby takowa przyprowadzoną nawet została do skutku. Z tego wypływa wniosek oczywisty, że zguba Polski, zdaniem p. Kariejewa, nastąpiła bynajmniej nie z wad jej wewnętrznego ustroju politycznego, nie z powodu jej sejmowania, elekcyi królów, rządu i t. p. lecz zupełnie z innej okoliczności, którą był mianowicie ów rzekomy „odwieczny spór rusko-polski." Z całego toku jednak dzieła widać, że autor tę właśnie przyczynę upadku Polski traktuje mimochodem i w sposób podrzędny, przy sposobności omawiania poglądów rosyjskich pisarzy; w końcu dzieła z przyczyny podrzędnej zamienia się ona na główną, wobec której maleją wszelkie inne przyczyny i obalają się w nicość. Jeżeli by tak było w istocie, pocóż nużyć czytelnika zbytecznym rozbiorem poglądów autorów cudzoziemskich i polskich o przyczynach upadku Polski, jskoro takowe są mylne; wobec górującej po nad temi przyczynami jednej prawdziwej, ta ostatnia domagałaby się przedewszystkiem najgruntowniejszego rozbioru, — p. Kariejew jednak tego wcale nie czyni, co więcej nawet w zapowiedzianem przez siebie nowem dziele — Polski dotyczącem*) zamierza badać nie tę właśnie stronę stosunków, która zdaniem jego, uniemożebniła byt Polski pomimo innych wad jej ustroju poczytywanych do dziś dnia przez historyków za kardynalne, lecz przeciwnie zupełnie inną stronę stosunków, a mianowicie „zawrzeć w treściwym zarysie historycznym całą historyę ruchu społecznego w Polsce od pierwszego zjawienia się myśli o reformach do ostatecznego nieudania się ich." Okoliczność ta razić musi koniecznie pewną niekonsekwencyą wniosków rosyjskiego profesora. Cóż więc ją może nam wytłómaczyć?...

Istota rzeczy zawiera się w tem, że tezę o „odwiecznym sporze polsko-ruskim" łatwo jest bardzo wypowiedzieć, ale nadzwyczajnie trudno usprawiedliwić historycznie.

Pomimo nieustanego jej poruszania przez rozmaitych pisarzy rosyjskich pozostaje ona aż dotąd niepopartą żadnymi niewątpliwymi pewnikami i należy do liczby oskarżeń zaciemnionych fałszywymi apriorystycznymi sądami i uprzedzeniami. Co do istoty tych stosunków p. Kariejew znajduje się z samym sobą w sprzeczności, a zdania jego tu i owdzie w tym przedmiocie rozrzucone po książce przyczyniają się bynajmniej nie do rozjaśnienia rzekomej kwestyi, lecz do stanowczego jej zaciemnienia.

„Publicyści i historycy rosyjscy, — powiada on**) — mówiący o upadku Polski, musieli zwrócić szczególną uwagę, że, właściwie mówiąc, dopiero dzięki rozbiorom Polski doprowadzone zostało do końca „zbieranie" ziemi ruskiej przez Moskwę, rozpoczęte niespełna na pięć

*) str. 381,

*) str. 384.
**) str. 173.

którzy lekcye im dają, wyleczyli się już z przesądu, że kobiet uczyć nie warto, bo i tak nic nie zrozumieją i bardzo umiejętnie dążą do rozwinięcia ich umysłów i rozszerzenia zakresu pojęć. Pod tym względem pod zaborem rosyjskim dziewczęta w lepszych niż chłopcy żyją warunkach. — Trudności, które regulamin rządowy w edukacyi tych ostatnich stwarza, dla nich znacznie są mniejsze. Kierunek ich wykształcenia spoczywa w ręku osób fachowo uzdolnionych, rozumnych, szlachetnemi ożywionych dążnościami, a mniejsza zależność od rządowych przepisów pozwala spożytkować na korzyść dziewcząt najlepsze nauczycielskie siły tj. te właśnie, które od pracy w rządowych zakładach przez napływ Moskali usunięte zostały. Dla tego też zapewne, o ile pobyt w gimnazyum dla młodzieży płci męzkiej jest 10 lat trwającą torturą, o tyle życie pensyonarskie panienek, mimo, że i tu także coraz na gorsze się zmienia, stosunkowo dość miłą bywa epoką życia.

Z murów szkolnych wynoszą dziewczęta, dzięki pracy światłych profesorów, ogromny zapał do nauki i rzadko która poprzestaje zupełnie na wiadomościach na pensyi nabytych, — każda prawie kształci się dalej w tym lub owym kierunku. — Z drugiej strony każda kończąc edukacyę, poczuwa się do obowiązku podjęcia jakiejś pracy i ztąd typ panny na wydaniu stopniowo zanika. Dziewczęta sfer uboższych lub średnich biorą się do pracy zarobkowej, przyjmują miejsca nauczycielek, kasyerek, buchalterek, retuszerek w zakładach fotograficznych — wreszcie w miejsce dawnych kosztownych robótek kobiecych uprawiają różne rzemiosła proste lub w zakres sztuki wchodzące.

Córki domów zamożnych, niepotrzebujące pracować dla siebie pracują dla drugich — rozciągają swą opiekę nad szwalniami, ochronami, taniemi kuchniami — itd. — a że w społeczeństwie istnieje wiele potrzeb niezaspokojonych, wiele cierpień ukrytych lecz dotkliwych, wiele szkód przez smutne urządzonych okoliczności łatwo sobie wyobrazić, że na brak pola uskarżać się nie mogą. — Nierzadkie też są już obecnie kobiety, które uniwersyteckie otrzymały wykształcenie. — Kilka kobiet-lekarzy praktykujących w Warszawie cieszy się wielkiem zaufaniem pacyentów, napływających w godzinach przyjęć tak licznie, jak do najwięcej wziętych w mieście lekarzy-mężczyzn. — Od czasu gdy zakazano doktorom za granicą wykształconym składać egzaminy państwowe, kobiety nie mając przystępu do miejscowych uniwersytetów, jeśli się karyerze lekarskiej poświęcają, pozbawione są możności pracowania w kraju, ztąd ilość lekarek nie wzrasta.

Na polu sztuki artystycznego przemysłu praca kobieca dość ważne zajmują miejsce. Każdoroczna wystawa w salonie artystycznym jest zbiorem prześlicznych rzeczy, małych arcydzieł gustu i talentu wyłącznie prawie kobiecemi stworzonych rękami. — Wyższe wykształcenie, poczucie obowiązku, poważna praca, niezależność materyalna z niej wynikająca zmieniły w wielu rysach dawny typ kobiety polskiej — mianowicie zaś warszawianki — gdyż, (co jest zresztą rzeczą naturalną), Warszawa stanowi główne ognisko postępu, z którego dopiero rozchodzą się jego promienie na prowincyę i do innych dzielnic. — Warszawianka dzisiejsza nie jest już ani salonową damą, ani cieplarnianą rośliną pod kloszem na podziw świata hodowaną, ani wdzięcznym kwiatkiem ku ozdobie społeczeństwa wyrosłym. Jestto przeciętnie biorąc kobieta myśląca, czynna i ruchliwa, sama opiekująca się sobą i sama za siebie odpowiedzialna, żyjąca swem własnem indywidualnem życiem, dążąca śmiało w wytkniętym przez siebie samą kierunku, wiedząca czego chce, a co do spełnienia swych pragnień — tylko na sobie polegająca. — Rozum nauką wzbogacony budzi w niej szczerość i śmiałość przekonań, miłość idei i odwagę do głoszenia jej słowem i czynem. Praca z konieczności pociąga za sobą osobistą niezależność i pewną swobodę ruchów, która granice konwenansu niezmiernie rozszerza. — Jest nietylko rzeczą zupełnie przyjętą, że panny same po ulicach chodzą, same odwiedzają znajomych, odbywają podróże, ale nieraz nawet wśród licznych swoich zajęć i interesów robią znajomości, zawierają stosunki towarzyskie, które w miarę chęci i okoliczności albo stają się znajomościami ich rodziny, albo na osobistych z niemi poprzestają stosunkach. W teatrze, na koncercie, odczycie rzadko dosyć młodszą kobietę samą napotkać można, natomiast dwie choćby w równym wieku bynajmniej nie zwracają uwagi i bez skrupułu na wszelkie przyzwoite uczęszczać mogą widowiska. — Z tej towarzyskiej niezależności i swobody wynika, iż warszawskie panny nie są takiemi jak niegdyś tajemniczemi zagadkami, o których świat wiedzieć może to jedynie w jakim kolorze im do twarzy.

Ponieważ większość panien nie chce być „niczem", o każdej można się mniej więcej dowiedzieć czem jest, czem się zajmuje i z jakiem powodzeniem, jakie zdradza uzdolnienie lub talent. Można też wiedzieć, jak postępuje z ludźmi, od których zależy i którzy od niej zależą, jakie popełniła omyłki i jakiemi zalecа się przymiotami. — Przez samodzielne życie nietylko objawia się, lecz i wyrabia jej charakter. — Będąc samą odpowiedzialną za swe czyny musi też sama baczyć na to, by się na zarzuty nie narazić i opinii swej nie nadwerężyć; sama kierując swymi krokami pilnie badać musi drogę, po której jej iść wypada i z odwagą ostrożność łączyć, aby się nie potknąć i bezpiecznie do celu dotrzeć.

Wobec tego naturalnie urok, jakim ją odziewała niegdyś naiwność i nieświadomość spraw tego świata, już dzisiaj nie istnieje,

Typ naiwny niedługo do całkiem zaginionych się zaliczy i nawet na scenie razić zaczyna nieprawdopodobieństwem, o ile nie przedstawiony w dzieciach lub pensyonarkach. — Czy jednak warszawianki lub warszawiacy stracili na tem cokolwiek, o tem bliższa obserwacya życia wątpić nakazuje. — Dziś już na mocy doświadczenia twierdzić można, że ani samodzielność, ani nauka nie paczą charakteru kobiety, nie wykolejają i nie krzywią jej natury, że nawet nie pozbawiają jej wdzięku i powabu. — Dziewczęta wychowywane zgodnie z nowymi poglądami znajdują mężów bez najmniejszej trudności, budzą miłość, szacunek i zaufanie, a wyższe, choćby uniwersyteckie wykształcenie, nie przeszkadza im być dobremi żonami i wzorowemi matkami. — Doświadczenie nauczyło jeszcze, że mężczyźni nie obawiają się tak dalece kobiet uczonych, jak opinia powszechna utrzymuje. Z pomiędzy obecnych płci żeńskiej doktorów medycyny czy filozofii, zaledwie kilka nielicznych wyjątków może, w celibacie żyje. Nie umiałabym nawet żadnej z nich nazwiska zacytować, podczas gdy mężatek tym tytułem obdarzonych znam kilkanaście. — Dowodzi to, co najmniej, że kierunek, który pole działalności kobiety rozszerzył i nowe otworzył dla niej drogi, żadnej z dawnych jej nie zamknął, że wstęp do uniwersytetu nie wyklucza wstępu na kobierzec ślubny, ani też życie samodzielne od obowiązków rodzinnych nie odrywa. Można powiedzieć nawet, iż dzieje się wprost przeciwnie: od czasu gdy poziom moralny i umysłowy kobiet się podniósł wzrosło też znaczenie ich w rodzinie, a pogląd na związki małżeńskie wielkim, a nader korzystnym uległ zmianom.

Charakter i nastrój kobiet oddziałały na charakter i nastrój mężczyzn. Dziś już dla znacznej większości młodzieży — prócz tej naturalnie, która się złotą lub choćby pozłacaną mieni; — żona nie jest jak niegdyś dodatkiem do posagu i to dodatkiem, o którym nigdy nie wiadomo, czy go w plusach, czy w minusach zapisywać należy. — W ciężkich warunkach wśród jakich większość mężczyzn obracać się musi, przy uciążliwej pracy, która znaczną część ich życia pochłania, jest ona bardzo pożądaną towarzyszką doli i niedoli, czasem pomocą materyalną, zwykle moralną podporą. — Do tej roli jaką

---

wieków przed upadkiem Rzeczypospolitej, że wśród mieszkańców ruskich ziem Rzeczypospolitej zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, widocznem było ciążenie ku Rosyi, które wzrastało w czasie prześladowań religijnych ze strony katolików, że wreszcie w epoce rozbiorów lud ruski, znajdujący się pod władzą polskich lub spolonizowanych panów ufał, że Rosya uwolni go z tej niewoli. Tym sposobem istniały ważne bardzo przyczyny oderwania się ziem ruskich od państwa polsko-litewskiego, a mianowicie: polityczna („zbieranie" ziemi ruskiej), religijna (prześladowanie dysydentów przez katolików), i społeczna (dążenie ludu rolniczego do uwolnienia się z poddaństwa.) Ta właśnie strona kwestyi uszła zupełnie uwagi publicystów i historyków polskich, oraz zachodnio-europejskich; poprostu nie rozumieli oni dostatecznie tego wszystkiego, lub nie wiedzieli o tem. Dziwić się temu wszakże nie należy — dodaje p. Kariejew — gdyż i Rosyanie sami od niedawna dopiero poznali należycie tę stronę kwestyi."

Z tego ustępu wynika, że istota owego mniemanego sporu rusko-polskiego rozpada się na trzy odrębne kwestye, z których jedna tylko nosi na sobie wyłącznie ruskie zabarwienie — owa dążność państwa moskiewskiego do „zbierania" ziemi ruskiej, poparta jakoby *niedowiedzionem dotąd* przez historyę) ciążeniem ziem ruskich Polski ku Moskwie. Dwie pozostałe kwestye wypływają w zasadzie bynajmniej nie ze sporu co do posiadania ziem ruskich, lecz stanowią ujemną stronę działań na całej przestrzeni rzeczypospolitej polskiej, jakiemi były „prześladowania" religijne i ucisk ludu, dysydenci bowiem w Polsce nie znajdowali się wyłącznie wśród rusinów, lud zaś na całej przestrzeni Polski znajdował się w jednostajnych warunkach. Szczególną zaś i najbardziej zastanawiającą okolicznością w twierdzeniu autora jest zaznaczenie, że o tem wszystkiem nie wiedzieli lub też nie rozumieli tego ani historycy cudzoziemscy, ani też polscy, sami zaś rosyjscy pisarze niedawno dopiero dowiedzieli się o tej kwestyi.

Ale występuje jeszcze dawniejsza okoliczność, którą stwierdza p. Kariejew. Stara dążność carów moskiewskich ruskiej znika z widowni, a na jej miejsce zjawia się inna. „W wieku XVIII powiada on*) — Rosya chciała po prostu opanować całą Polskę, jako ziemię zaludnioną bez względu na skład ekonomiczny(?) ludności: przymuszona zgodzić się na pierwszy rozbiór, brała ona sobie pas ziemi najbardziej przystający do jej posiadłości, zupełnie tak, jak to robiły Prusy usuwając przedział pomiędzy głównemi prowincyami swojemi, lub jak to czyniła Austrya, nabywając Galicyę, która zaokrągliła jej granice od północo-wschodu.

W wieku XVIII Rosya zrzekła się „zbierania ziemi ruskiej" dla nowego celu, domagającego się zachowania całości Polski, a zmuszona do podziału, jeszcze raz zrzekła się „zbierania" ziemi ruskiej przez ustępstwo Galicyi ruskiej na rzecz cesarstwa Habsburgów. W jedności wiary swojej z wiarą większości zaludnienia wschodnich części Rzeczypospolitej, Rosya głównie widziała tylko powód do wtrącania się do spraw polskich, powołanie się zaś prócz tego na współplemienność (w epoce drugiego rozbioru było raczej pretekstem, który przytoczyć można było na usprawiedliwienie swoich postępków, niż rzeczywistą ich przyczyną, pobudką."

Wobec tego niewątpliwego faktu stwierdzonego przez p. Kariejewa zachodzi wielkie pytanie, czy kiedykolwiek bądź indziej istniała dążność carów moskiewskich do zbierania wyłącznego ziem ruskich i czy takowa dążność nie była wynalazkiem dokryny późniejszej o stosunkach rusko-polskich, o których nie wiedzieli lub których nie rozumieli(?) historycy polscy, cudzoziemscy, a nawet rosyjscy do bardzo niedawnej epoki.

*) str. 377.

(Ciąg dalszy nastąpi).

w większości małżeństw dziś odgrywać jest zmuszona nie nadają się bynajmniej istoty słabe, nierozumne, ani wykształcenia, ani wyrobionego charakteru nie posiadające. — Mężowie wychowywać i pilnować ich nie mają czasu; ta która z nimi ciężki żywot dzieli, nie ciężarem, nie zabawką chwilową, lecz pomocą i ulgą być im powinna. — I ekonomiczne stosunki kraju wpływają na to, że praktyczność tak zwanej żartobliwie: kury dementyki, dziś już nie wystarcza; główną zaletą współczesnej gospodyni domu nie jest już umiejętność smażenia konfitur lub przyprawiania sosów, lecz rozsądek, przezorność, zdolność oceniania okoliczności i przewidywania ich na przyszłość, godzenia rozchodu z dochodem, rozróżnienia drobnostek od rzeczy ważnych, wreszcie odwaga do pogardzenia konwencyonalnemi, a kosztownemi formami i niepotrzebnym a zbytkowym blichtrem.

Wskutek tych przyczyn w dzisiejszych czasach dobrą żoną, rozumną matką, a nawet i praktyczną gospodynią może być tylko kobieta odważna, energiczna, pracowita i światła. Uznanie tej prawdy w żaden dogmat nie ujętej i w żadnym podręczniku moralności nie głoszonej coraz więcej rozpowszechnia się wśród ogółu i coraz częściej zdarza się fakt, że do wykonywania onych kardynalnych i tradycyą uświęconych obowiązków rodzinnych powoływane bywają właśnie te kobiety, które najwłaściwsze do ich spełniania okazują przymioty.

To — co wyżej powiedziano, wyda się może czytelnikom zbyt optymistycznym na chwilę bieżącą poglądem, — być może, że niejeden zaprzeczyć mi zechce i na mocy osobistej obserwacyi twierdzić, że i w Warszawie, w owem ognisku kobiecego postępu ani bezmyślnych lalek, ani pustych trzpiotek, ani pospolitych kumoszek nie braknie. — Istotnie, reforma nie jest jeszcze radykalnie przeprowadzoną i nie ogarnęła wszystkich kół kobiecych.

Wśród tak wielkiego zbiorowiska ludności jak Warszawa, spotkać można przedstawicielki różnych epok cywilizacyjnego rozwoju kobiety, bardzo rozmaite typy i okazy — a nawet i między przodowniczkami ruchu postępowego ślady tradycyjnych wad niewieścich nie zatarły się jeszcze i może nigdy się w zupełności nie zatrą. Nie mówimy jednak o pojedyńczych osobach — ogół dąży śmiało i wytrwale po wytkniętej i poniekąd utorowanej już drodze, a zapał, ruchliwość, energia, miłość idei ogarniająca całe setki inteligentnych pracownic każą wróżyć, że przyszłość zbliżać je będzie wciąż do ideału, który sobie utworzyły.

Po trosze też ruch, który się wszczął w sercu Polski — rozszerzy się na wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, — coraz liczniejszy zastęp robotnic stanie do pracy na ojczystym zagonie, wspierając swych ojców, mężów i braci w ciężkiem zadaniu uprawiania roli pod zasiew przyszłości, — by kiedyś — gdy piękniejsza praca nastanie, wraz z nimi — plon zbierać bogaty.

Izabella Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Nieco o gumie. „Dom katolicki“. Kompromitacya p. Poraja. Kłamliwe podejrzenia.)

Są sprawy, o których w zaufanem kółku mówi się z uśmiechem ironii, lub energicznym protestem, ale gdy drzwi na roścież otwarte i prokuratorzy opinii ukazują w progu namaszczone oblicza, milknie opozycya i zaczyna się dyplomatyczna cisza charakterystyczne kiwanie głowami, lub w najlepszym razie bardzo uprzejme, nieśmiałe, bezustannie rejterujące — „ale“. Niegdyś — lat temu 20 i więcej — społeczeństwo poznańskie cenić umiało odwagę przekonań i była w inteligencyi naszej owa duma wyniosła, która w szufladkach dyskretnego biurka nie pozwalała zamykać swoich bóstw wyśnionych. Ludzie na rynkach publicznych nowym słońcom ołtarze stawiali, a chociaż z twierdz kopalnego konserwatyzmu głos leciał wielki jak burza: To bałwochwalstwo! — oni opowiadali tłumom ewangelią ducha własnego z tą nieugiętą wiarą Galilea, którą legenda wieków ubrała w pamiętny okrzyk: E pur si muove! Dziś u nas mężowie z bronzu i marmur giną z dnia na dzień jak żubry w lasach europejskich. Społeczeństwo nasze ubogie — nie stać nas na marmury i bronzy — niech żyje guma! Z gumy kołnierzyki, koszule i płaszcze, z gumy koła, poduszki i podeszwy, z gumy — przekonania. O! my umiemy giąć się, zwijać i kurczyć, a gdyby zasady można ucieleśnić, dostarczylibyśmy do cyrków europejskich tysiące „Schlangenmenschen“, i nasze nieproduktywne prowincye kresowe rozwinęłyby wtedy w jednym przynajmniej kierunku doniosłą wytwórczość.

Elastyczność ta wzrosła od pewnego czasu dzięki zręcznej taktyce dominującego konserwatyzmu, który spekulując na ambicyjki ludzkie, wywiesił najsłodsze przynęty, a tych, którzy karmelkową odpychali pokusę, teroryzował z rafinowaną bezwzględnością. Najlżejszy protest przeciw postulatom panującej kliki proklamowano jako anarchią i ateizm, a jeszcze w najświeższym czasie słyszano w poznańskich salonach pewnego retora-frazesowicza, który odważył się cisnąć garść błota na honor najuczciwszych ludzi liberalniejszych przekonań. I cóż? Rzucajcie kamieniem, posługujcie się bronią kalumnii, miotajcie obelgi i oszczerstwa, — to nas oburza, ale nas nie złamie. Nie zapisawszy się w poczet członków gumowego baletu i przejęci gorącą miłością tej starej rzeźby z bronzu i marmuru, nie kryjemy w kieszeniach naszych dwoistych przekonań, — jednych dla publiczności a drugich dla siebie. To też w tych sprawach, które chwilowo żywiej obchodzą społeczeństwo, a przedewszystkiem w drażliwej sprawie wieca katolickiego, wypowiemy już w najbliższym czasie z całą otwartością przekonania nasze i dalecy od jednostronnej adoracyi lub jednostronnego potępienia, scharakteryzujemy światła i cienie bez trwogi.

Dziś jeszcze nie wstępujemy na arenę szerokiej dyskusyi, lecz sięgamy po jeden z charakterystycznych szczegółów wielkiej manifestacyi i pod mikroskopem krytycznym treść jego i skutek badamy. — Ks. kan. dr. Kubowicz przedstawił projekt „domu katolickiego“ w Poznaniu, a wiecownicy myśl wnioskodawcy poparli i zatwierdzili w formie rezolucyi. Według artykułu zamieszczonego w „Kuryerze Pozn.“ — organie katolików po polsku mówiących — ma dom ten stać się miejscem zbornem i ogniskiem życia „katolickiego“ dla całej Wielkopolski — o charakterze narodowym milczy wnioskodawca i milczy „Kuryer Pozn.“ Dwa jedynie w tej sprawie miarodawcze źródła wysunęły zatem wyłączność charakteru katolickiego projektowanej instytucyi. — „Dziennik Pozn.“ natomiast, przyozdobił ją patryotycznym tytułem polsko-katolickiej. Nie chcemy przypuścić, aby „Dziennik“ tą samowolną fabrykacyą etykiety pragnął piaskiem w oczy cisnąć społeczeństwu, wolimy raczej uwierzyć, że pium desiderium w cechy autentyczności ustroił, aby patryotyczną sugestyą skłonić wnioskodawców do zmiany projektu. Czemuż jednak nie mówi otwarcie? Czemuż szepcze nieśmiało tam, gdzie krzyczeć powinien? Doświadczenie przecież powinno było pana Dobrowolskiego pouczyć, że wszelkie półsłówka marnieją na gruncie skalistym, a „wiec katolicki dla polskiej ludności“ ani na jotę nie zmienił charakteru swojego, choć „Dziennik“ stale mianował go „polsko-katolickim“. — Tak się przedstawia zasadnicza strona projektu, który wywiesił barwy wyznaniowe, a biało-czerwone zamazał zupełnie. Wycieńczony naród polski ma groszem krwawo zapracowanym wznieść gmach katolicki bez charakteru narodowego.

Przypuściwszy jednak, że wnioskodawcy zdecydują się w ostateczności przypomnieć sobie, że polskość w naszych warunkach goretszej niż katolicyzm wymaga opieki, to mimo wszystkiego nie przestanie projekt ks. kan. Kubowicza, najpoważniejszych budzić wątpliwości. Istnieje bowiem w Poznaniu od lat 7 mniej więcej Spółka planująca zbudowanie polskiego Domu przemysłowego. Spółka ta mimo bohaterskich wysiłków zaledwie 20,000 marek dotychczas zgromadzić zdołała. Z chwilą obecną wstępuje na poznańską arenę rywal powyższej instytucyi w postaci „Domu katolickiego“, a w naszych opłakanych stosunkach wątpliwem chyba być może, że rywalizacya taka wywoła w społeczeństwie ferment i antagonizm niebezpieczny, a nadomiar wcielenie obu zamiarów odsuwa ad calendas graecas, lub gotuje im ruinę stanowczą. Przy wytężeniu wszystkich sił zdobędziemy się może z czasem na zbudowanie Domu przemysłowego, a dom ten stanie się niewątpliwie twierdzą narodowości, przemysłu i katolicyzmu. Projekt wzniesienia specyalnie katolickiej instytucyi jest zatem nietylko zbytecznym, ale z powodu grożącego rozdwojenia szkodliwym.

Taka jest nasza w sprawie tej opinia, a zdanie to podziela cała myśląca i wobec panującej koteryi mniej niewolniczo usposobiona inteligencya. I nie dość na tem! Projekt ks. kanonika Kubowicza obudził w szerokich warstwach ludu naszego wątpliwości pewne, które wyraz stanowczy znalazły w demokratycznych organach, a jeżeli pour la bonne bouche dodamy, że „dom katolicki“ wśród najgoretszych wielbicieli wiecowej manifestacyi, wśród biesiadników bazarowych nie wzniecił zapału, to chyba dla scharakteryzowania opinii nic więcej dorzucić nie potrzebujemy. Na wielkiej uczcie wiecowej, do której zasiadło około 300 najprzedniejszych obywateli zebrano zaledwie 280 marek, a z sumy tej ofiarowali 200 marek p. p. prof. Wicherkiewicz i Franciszek Dobrowolski. Nikt wprawdzie otwarcie zaprotestować się nie odważył, ale cyfra jest tu najwymowniejszem świadectwem.

* * *

W końcu feljetonu dzisiejszego stwierdzam publicznie, że p. Bohdan Poraj, autor artykułu p. t. „Pesymizm w Przeglądzie Pozn.“ (Goniec Wielkopolski) wije się, przyciśnięty do muru, jak węgorz w matni. Dla scharakteryzowania taktyki wspaniałego przeciwnika donoszę, że p. Bohdan Poraj na zapytanie moje, w którym z feljetonów nazwałem „patryotyzm polski w wielkiej części maską służącą do pokrycia nicości moralnej i materyalnej“, powołuje się na artykuł mój zamieszczony w nr. 8 „Przeglądu“. To się nazywa uczciwością polemiczną! W feljetonie tym mówiłem o trzeciorzędnych artystach, którzy brak lub ruinę talentu maskować lubią narodowym mundurem — nic więcej.

Szkoda, że p. Poraj nie zarzucił Sulli tendencyi polonizacyjnych w krainie Hottentotów. Byłoby to mniej więcej równie logicznem i również uczciwem, a niewątpliwie efektowniejszem.

Charakterystyczniejszą jeszcze jest odpowiedź druga. Na zapytanie moje w którym z feljetonów oświadczyłem, że przed czcością umysłową „trzeba się ratować wynaradawiając“ komunikuje p. Poraj, że „zdanie to nie odnosi się do Sulli, ale do jego wrocławskiego korespondenta“. Przedewszystkiem stwierdzam stanowczo, że mój wrocławski korespondent tak sformułowanego postulatu nie postawił, a po drugie oświadczam, że p. Poraj mija się z prawdą, bo mnie samemu zarzut ten najwyraźniej i najdobitniej uczynił. Jest to źle zamaskowana rejterada. Pan Poraj fałsz jeden fałszem drugim tuszuje, a w ostateczności nie wiem, nad czem więcej ubolewać: czy nad kłamliwością, czy nad brakiem zręczności dyalektycznej, czy nad logiką skompromitowanego przeciwnika?

* * *

W piątkowym numerze „Dziennika Pozn.“ znajduje się korespondencya z Wrocławia, w której niejaki pan P. zarzuca mi ni ztąd ni z owąd, że listy akademików przytoczone w nr. 7 „Przegl. Pozn.“ są redakcyjnem fabrykatem. Zarzut ten wystawia znowu jaskrawe świadectwo uczciwości przeciwników moich, którzy plotąc smalone duby o twórczej powadze młodego pokolenia pieczę-

tuje psychologiczne nonsensa kalumnią. Lecz nie koniec perfidyi. Wrocławski studencik rzuca w końcu charakterystyczny domyślnik o „r o z d z i e l a n i u“ jakiegoś „żelaznego funduszu“ przez „światoburczą“ młodzież berlińską i apeluje do Sulli, aby „jako najlepiej znający tę sprawę“ przestał ją tuszować. Co do faktu samego zawiera on fałsz powtórny, bo dla niżej podpisanego „rozdzielenie“ jakiegoś funduszu żelaznego jest du grec. Nie o fakt tu jednak chodzi, lecz o nową kalumnją, — o rzucenie jakiegoś nieokreślonego a ubliżającego podejrzenia na osobę moją. Postępowanie takie nie dziwi mnie wcale, bo przyzwyczaiłem się już do brudnych wycieczek antagonistów moich. Dziwi mnie tylko, że wrocławski młodzik fantazye swoje o „żelaznym funduszu“ zamieszcza w „Dzienniku Poznańskim“. P r z e c i e ż w d o m u w i s i e l c a n i e m ó w i s i ę o s t r y c z k u. *Sulla.*



O PRAWDĘ.

Berlin, 12 czerwca.

(W sprawie Tow. naukowego w Berlinie.)

Zamieszczone w „Przeglądzie Poznańskim“ uwagi z powodu uroczystości 3 maja narobiły tu ogromnego hałasu. Śmiałek jakiś odważył się zaczepić Towarzystwo Naukowe, skrytykować es ro rozprawę, którą siedemdziesięciogłowe zebranie uznało za dobrą i oryginalną, zarzucić uczącej się młodzieży nieznajomość wyników najnowszych badań historycznych! Od dwóch lat, od pamiętnej krytyki Towarzystwa, zamieszczonej w „Dzienniku Poznańskim“ nic się podobnego nie zdarzyło: należało ratować honor młodzieży i naprawić zaszarganą opinią. Milczeć — znaczyłoby przyznać się do winy!

Zaszumiało jak w ulu w „Terminusie“ i „Monopolu“. Znalazło się kilku, którzy przyznawali słuszność autorowi inkryminowanego artykułu i ubolewali tylko nad tem, że skrytykowany ostro prelegent należał do najbliższych ich przyjaciół; ale słabe i nieśmiałe ich protesty przebrzmiały niesłyszane w ogólnym krzyku oburzenia. Ukonstytuował się tryumwirat w celu obrony Towarzystwa, i po długich naradach zredagował „ciętą“ odpowiedź niedyskretnemu korespondentowi.

Nie było to sprawą zupełnie łatwą, bo nie dało się zaprzeczyć, że f a k t a p o l a n e w korespondencyi zgadzały się z prawdą: a jednak trzeba było oponować. Ale „Prawdomówny“ umiał sobie poradzić. Pierwszą część zarzutu zbył krótko ironiczną uwagą, że możnaby więcej jeszcze robić zarzutów, a zabawa nie jest grzechem. Odczyt zaś obronił bardzo dowcipnie twierdzeniem, że badania Szujskiego i Bobrzyńskiego nie stanowią dogmatu, że korespondent nie zrozumiał wcale prelegenta, nazwał krytykę jego prostą „napaścią“, a w braku lepszych argumentów zarzucił mu zamiłowanie w frazesach. Jest to w samej rzeczy wyborny środek, aby zdyskredytować niemiłe osobistości i tem wygodniejszy, że można użyć go zawsze bezpiecznie w tych przypadkach, w których niepodobna walczyć rzetelnemi wywodami.

Mógłbym panu oponentowi odpłacić tą samą monetą, ale broń ta zbyt użyta, abym miał się nią posługiwać. Wolę raczej przytoczyć fakta.

Obchody narodowe urządzane przez „Tow. Naukowe“ kończą się zazwyczaj wesołą hulatyką, przeciągającą się późno w noc, znamienitą krzykiem i hałasem, dowcipem i cynicznymi „sielankami“. „Prawdomówny“ nie znajduje w tem nic złego, a ja nie myślę narzucać mu w tej mierze swoich zapatrywań. Ale czyżby nie miał o tem wiedzieć, że solwowanie „piwnego posiedzenia“ w Berlinie nie oznacza jeszcze końca zabawy, że wielka część biesiadników, podochocona piwem i śpiewami nie wraca po posiedzeniu do domu, lecz szuka dalszej rozrywki w innych lokalach? Czy nie znajduje w tem nic złego, że ta podochocona młodzież w dzień obchodu narodowego, którego celem jest skupianie ducha i przejęcie się poczuciem obowiązków względem narodu, wałęsa się aż do jasnego dnia po „klapach“, „Monopolach“, a nawet po „s a l a c h b a l o w y c h“..... Nie przypuszczam, aby miał pochwalać takie postępowanie; ale w takim razie nie powinien oburzać się na to, jeżeli ktoś gorętszy sercem i delikatniejszy uczuciem zgani zabawę, która do takich nadużyć prowadzi. Gdyby po obchodach narodowych nie było „piwnych posiedzeń“, nie zdarzałyby się takie wykroczenia, bo nie wątpię, że każdy akademik posiadałby po trzeźwemu tyle poczucia swej godności, aby przynajmniej w dzień taki utrzymać się na wodzy.

Głównie atoli — i tu właściwy powód danej korespondentowi „odprawy“ — nie spodobała się młodzieży tutejszej krytyka wygłoszonego na obchodzie odczytu.

Nie może tu być naturalnie mowy o napaści na prelegenta, jak to pojął „Prawdomówny“ i jego towarzysze, lecz o widocznym braku wiadomości historycznych w „Tow. Naukowem“ i zwrócono na nią uwagę nie dla szykany, albo z osobistych pobudek, ale dla tego, aby „Tow. Naukowemu“ przypomnieć jego obowiązki. Przyjaźń i solidarność to bardzo piękne uczucia, i cieszy mnie, że mają w Berlinie jeszcze gorących wielbicieli, — ale niech mi „Prawdomówny“ wybaczy, jeżeli nie ośmielę się nigdy chwalić tego, co uważam za złe i niestósowne, dla tego tylko, że związane jest z imieniem — może miłego mi przyjaciela. Wierzę, że „Prawd.“ w dobrej wierze bronił swego kolegę, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że u nas prawda pada często ofiarą przyjaźni, a mnie się wydaje, że ta tylko przyjaźń jest szczerą, która prawdę mówi, chociażby ta prawda gorzką była.

Co do samego odczytu, za który Towarzystwo z powodu rzekomej „napaści“ raz jeszcze oficyalnie podziękowało prelegentowi, należy pamiętać o tem, ż e c h c ą c z g o d n i e z p r a w d ą p r z e d s t a w i ć h i s t o r y ę, t r z e b a u w z g l ę d n i ć t a k j a s n ą j a k i c i e m n ą s t r o n ę w y d a r z e ń i s t a n o w i s k o j e d n e j d o d r u g i e j o s t r o z a a k c e n t o w a ć.

Sz. Prelegent starał się dać niejako zwięzłą historyą starań o naprawę Rzptej., ale zapatrując się na sprawę zbyt optymistycznie przedstawił ją z fałszywego zupełnie punktu widzenia. Postawił on na pierwszym planie dobre zamiary pewnej części ówczesnego społeczeństwa, a o błędach i wadach większości, wskutek których wszystkie pokusy o naprawę stosunków spełzły na niczem, wspomniał tylko o tyle, o ile to nieodzownie było potrzebnem. Tymczasem należało — nie chcąc stanąć w sprzeczności z historyą — przedstawić przedewszystkiem smutny obraz ówczesnego życia polityczno-społecznego i na nim jakoby oazy zamieścić sporadyczne objawy lepszych chęci.

Temat taki nie nadawałby się naturalnie do odczytu na uroczystości 3 maja, ale w tem też wina prelegenta, że ten temat właśnie wybrał, a uczynił to dla tego, że opierał się na historykach, których badania w poruszonej sprawie wcale są niezadawalniające. Potrzeba tylko przeczytać uważnie Szujskiego lub Bobrzyńskiego, aby się przekonać, że w 17 i 18 wieku nie podobna wziąć za tło historyi polskiej jasnych stron narodowego życia. H i s t o r y a b o w i e m 17 i 18 w i e k u w P o l s c e t o n i e h i s t o r y a p o s t ę p u w a l c z ą c e g o z u p a d k i e m, a l e h i s t o r y a u p a d k u i a n a r c h i i w w a l c e z r e s z t k a m i z a m i e r a j ą c y c h c n ó t p o l i t y c z n y c h i s p o ł e c z n y c h.

Ale „Prawdomówny“ zarzucił, że historya Szujskiego i Bobrzyńskiego, to nie dogmat, i w tym względzie ma niezaprzeczenie słuszność. Tego też w inkryminowanej korespondencyi nie powiedziano; dano tylko dziełom tych uczonych pierwszeństwo przed wszystkiemi dawniejszemi, a uczyniono to dla tej prostej przyczyny, że opierają się na znacznie obszerniejszych materyałach, poprzednim historykom wcale nie znanych, w których wyświetlono pojedyńcze punkta naszej przeszłości. Niehistoryk nie uzna może wartości takich pojedyńczych monografij, ale kto wie, że nie podobna dla jednego człowieka zbadać i opracować ani części nawet istniejących źródeł historycznych, kto wie, że nasi starsi historycy także ich nie zbadali, lecz czerpali z tego, co im podpadło pod rękę, z opracowań niekoniecznie zawsze krytycznych, ten da oczywiście pierwszeństwo tym uczonym, którzy mieli na swe usługi wielką ilość prac specyalnych, ocenionych już i uznanych przez świat naukowy.

Nikt nie zaprzeczy, że w Szujskim i Bobrzyńskim są błędy, że historya Bobrzyńskiego pisaną jest z apryorystycznego punktu widzenia; ale też tego niepodobna zaprzeczyć, że ogólny obraz narodu i stosunków polityczno-społecznych w pracach tych nakreślony, zgadza się, pomijając nieco tendencyjny koloryt, prawie wszędzie z najnowszymi badaniami, także z tymi, które poczyniono p o u k a z a n i u się „Dziejów Polski“ i „Zarysu“.

Przywykliśmy już do tego, że każdy błąd wytknięty „Tow. Naukowemu“ wywołuje żywe i gwałtowne protesty, że akademicy nie uznają dobrych chęci tych, którzy podejmują się — niemiłego — zadania wyciągania na jaw ciemnych stron i wad akademickiego życia, lecz posądzają ich zawsze o chęć szkodzenia dobrej sławie Towarzystwa.

Z tego też punktu widzenia należy zapatrywać się na „odprawę“, daną przez „Prawdomównego“ berlińskiemu korespondentowi. Ale czyby nie było lepiej, gdyby młodzież wzięła sobie do serca dane napomnienia i zajrzała nieco głębiej w historyę swego narodu? czyby nie lepiej, gdyby zamiast protestować z oburzeniem, postarała się o to, aby przyszły odczyt stał na wysokości obecnego stanu wiedzy historycznej?!

Nie wątpimy, że się tak stanie.... albo czyby „Tow. Naukowe“ miało rzeczywiście być przekonane, że cała nowa nauka historyczna po błędnych kroczy drogach, a prace Hoffmana, Moraczewskiego, Morawskiego, Szmitta na zawsze pozostaną kanonem wiedzy historycznej w Polsce: *I. I.*

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 11 czerwca.

(S p r a w y m i e j s k i e. W y k r ę t y p. W ł o d k a. T o w a r z y s t w o r y b a c k i e. S k a n d a l e w t e a t r z e. S t r e j k c e g l a r z y.)

Pomnażają się nieustannie podarunki nadchodzące z Wiednia od ministrów — rodaków i ekscelencyj — rodaków. Po zerwaniu układów z gminą miasta Krakowa o budowę szkół, grozi obecnie zerwanie układów o podkop przy ulicy Lubicz. Dworzec kolejowy w Krakowie leży wśród miasta, a główna arterya łącząca miasto z oddzieloną jego przez tor kolejowy częścią tj. ulica Lubicz, wskutek nieustannego przechodzenia pociągów, a zwłaszcza przesuwania wozów, nie oddaje odpowiedniej usługi, co chwila bowiem bywa zamkniętą. Przerwy te w komunikacyi wozowej i pieszej są bardzo przykre; wskutek nich np. wszystkie pogrzeby muszą zdaleka obchodzić i nakładać drogi na cmentarz, znajdujący się właśnie po odciętej przez tor kolejowy stronie. Miasto zatem od dawna czyniło starania u rządu i u dyrekcyi Karola Ludwika, ażeby urządzić w tem miejscu podkop, tak dla wozów jak i dla pieszych. Naturalnie wszystko szło po austryacku tj. powoli; kolej tymczasem przeszła pod zarząd państwowy. Ponieważ prezydentem jej został JE. Biliński, zdawało się zatem, że miasto uzyska dogodniejsze warunki, tyczące się wybudowania tego podkopu. Tymczasem na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej dowiedziano się, iż JE. Biliński „w żadnym kierunku warunków postawionych przez rząd nie zmieni“, a gdyby gmina się nie zgodziła, to odstąpi bezwarunkowo od wykonania przekopu i zwraca uwagę, że wojskowość w razie potrzeby transportu wojska zamknie zupełnie ulicę Lubicz.

Na temże samem posiedzeniu Rady miejskiej obradowano nad sprawą tramwajową, o

której dość szczegółowo przed paru tygodniami donosiłem. Kołtunerya krakowska, niechcąca zezwolić na położenie drugiego toru tylu znalazła obrońców, że nie ukończono dyskusyi. Wogóle w naszej Radzie miejskiej istnieją obecnie dyskusye bardzo ostre, przypominające na małą skalę Radę miejską wiedeńską. Tak np. o to, czy p. Leib Eber może sobie urządzić furtkę na plantacye, czy też ma to mu być zabronione, tak się starli między sobą członkowie partyi liberalnej, że aż prezydent jednego z nich musiał przywoływać do porządku. Sensacyę także wywołała interpelacya jednego z radców tycząca się uwolnienia od obowiązków przez prezydenta dyurnisty magistratu p. Marka, prezesa Czytelni Akademickiej. Ponieważ p. M. urządził niedawno uroczystość akademicką, której nadał charakter tak nieodpowiedni, że aż się oburzyła „N. Reforma" i dopuścił do przemawiania na tej uroczystości przywódcę socyalistów p. Daszyńskiego, przeto oddalenie pana M. z posady miało być następstwem jego politycznych przekonań. Prezydent zgrabnie poradził sobie z interpelacyą. Zapytał się Rady, czy mu służy prawo przyjmowania i oddalania dyurnistów? Kiedy Rada jednogłośnie to prawo potwierdziła prezydent zwracajac się do interpelanta po wiedział: oto jest odpowiedź na pańską interpelacyę.

Bardzo za to niezgrabnie usiłował przeprosić konserwatystów p. Włodek, szczęśliwy kontrkandydat prof. Milewskiego na posła do Rady państwa. Przybywszy do Wiednia, na pierwszem posiedzeniu Koła polskiego złożył oświadczenie, iż nie wiedział, że obowięzuje już nowy regulamin centralnego komitetu wyborczego, bo w takim razie nie byłby wcale kandydował wobec oświadczenia się komitetu za prof. Milewskim. Mogą się ludzie wykręcać sianem, może się więc i p. Włodek wykręcać niewiadomością. Tylko to rzecz dziwna, że kandydat na członka rządzącego państwem parlamentu, nie wiedział tego, o czem wiedzieli wszyscy. Przypuśćmy zresztą, że nie wiedział, w takim razie źle jest znowu, iż przyszły poseł nie czytuje „Czasu", (konserwatysta nie czytuje pisma konserwatywnego), bo gdyby go był czytał byłby wyprowadzon z ciemnic niewiadomości. Wierzymy mu wreszcie na słowo szlacheckie, że nie wiedział, ale się nareszcie dowiedział, a więc powinien złożyć mandat — i byłoby wszystko w porządku. „Ryba" ten p. Włodek.

Mówiąc o takiej rybie, możemy wspomnieć o Towarzystwie rybackiem. Odbyło ono swe walne zgromadzenie, na którem dowiedzieliśmy się, iż Towarzystwo w roku ubiegłym rozpuściło pół miliona narybku do Wisły, Wisłoka, Bugu i Sanu. Prócz tego Towarzystwo zajmowało się sprawą założenia zakładu hodowli ryb i „wprowadzenia wędrownych wykładów rybackich." Przedmioty wysłane do Lwowa na wystawę krajową staną się zawiązkiem przyszłego muzeum rybackiego. Uchwalono założenie w łonie Towarzystwa klubu sportu wędkowego, który oprócz zabawy i przyjemności członków (ryb także!) przyczyniać się będzie nadto do spopularyzowania sprawy rybackiej w kraju.

W spopularyzowaniu swojego interesu „rybą" nad „ryby", mistrzem nad mistrze okazuje się przedsiębiorca teatralny pan Pawlikowski. Rzeczywiście niema nic popularniejszego obecnie nad teatr krakowski.

Kiedy w połowie r. z. Rada miejska krakowska 33ma głosami na 38 głosujących powierzyła dyrekcyę nowego teatru p. Tadeuszowi Pawlikowskiemu, radość z powodu objęcia teatru przez p. P. była podobną do radości żołnierza cieszącego się, iż kula armatnia oderwała mu tylko jedną nogę. Nie chciano widzieć na tem stanowisku p. Gliksona i to jedynie było powodem zadowolenia, że jego kontrkandydat wyszedł zwycięzko. Dla mnie (a zaznaczyłem to w korespondencyach do „Kraju" petersburskiego) pan P. wydawał się stanowczo nieodpowiednim na dyrektora, bo nie przedstawiał ku temu żadnych danych, niczem nie okazał swoich kwalifikacyj. Co najwyżej przypuszczać było można, iż będąc, dzięki majątkowi ojca, człowiekiem zamożnym, mając sporo zarozumiałości i chęci imponowania, nie będzie zapewne liczył się z groszem gdy przyjdzie go wydać na podniesienie sceny. Obecnie minęło już siedem miesięcy nowej dyrekcyi, a stały się one tylko potwierdzeniem mojego mniemania, że pan P. jest stanowczo nieodpowiednim na dyrektora. Na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej radca Redyk odezwał się w te słowa: „kiedy w roku zeszłym przyszła na stół sprawa obsadzenia dyrekcyi w teatrze popieraliśmy p. Pawlikowskiego, sądząc, że tenże zna się na literaturze i sztuce, dziś jednak utwierdziliśmy się w przekonaniu".. W tem miejscu zwrócono mówcy uwagę, że znajduje się na sali ojciec dyrektora, wskutek czego mówca zaprzestał wywodów i prosił o otwarcie tajnego posiedzenia. Co na tem tajnem posiedzeniu mówiono, nie wiem, ale prawdopodobnie zajmowano się sprawą, która szeroki rozgłos znalazła, bo telegramy i korespondencye rozniosły na wsze strony skandaliczne zajścia, jakich nasz przybytek sztuki był w ostatnich czasach widownią.

O tych skandalach nie rozpisuję się przez wstręt do rzeczy obrzydliwych. Kto brał policzki, kto ich udzielał i za co? — to należy do tajemnic domowych, które lubo wszystkim są znane, powinny jednak w dziennikarstwie być przykryte pewną zasłoną. Skandal wreszcie, jaki się stał, był jedynie ową kroplą wody, która przepełniła naczynie. Od samego początku trwała w naszym nowym teatrze dezorganizacya. Nowy dyrektor złożył nędzny personał, oddalił bardzo wybitne siły aktorskie, a nie zastąpił ich innemi. Nie zaangażował p. Kałużyńskiej, która przez lat kilkanaście była bohaterką sceny krakowskiej, przez co nie mógł po prostu wystawiać sztuk wymagających bohaterki dramatycznej; nie zaangażował z dawnych aktorek p. Siennickiej, wybornej do roli kokietek w wyższym stylu, a która tak gorącego doznała świeżo przyjęcia w Warszawie. Odszedł p. Siemaszko, jedyny talent czysto komiczny na scenach galicyjskich; odeszła i jego żona, która dziś we Lwowie należy do najwięcej lubianych. Pozbył się wreszcie pan P. kilku innych dobrych sił, jak pp. Ruszkowskiego i Wernera, których nie miał kto zastąpić, a którzy dziś również są ozdobą sceny lwowskiej. Uzupełnienie natomiast personału wypadło nadzwyczaj słabo. Do personału męskiego przybyło parę sił dobrych, ale nowy personał żeński okazał się niższym wszelkiej krytyki. Scena krakowska zeszła od razu na prawie prowincyonalną. Układ repertuaru był wprost niemożliwy. Przez pierwsze dwa miesiące wyciągano same stare sztuki, przeważnie archeologicznej jedynie wartości. Dyrektor oparł się nie wystawiać rzeczy nowych; kiedy dawniej (choć co drugi dzień grano) w ciągu roku przybywało na scenę przynajmniej 30ci „nowości" oryginalnych i tłomaczonych, w sezonie obecnym wystawiono zaledwie połowę tej liczby, choć przedstawienia odbywają się codziennie. Dyrekcya z jakiemś dziwnem zadowoleniem lekceważyła naszych autorów dramatycznych, nawet miejscowych, nie raczyła bowiem wystawiać tego, co napisali, a co już grano na scenach lwowskiej i poznańskiej (np. Kilińskiego). Co chwila przytem dochodziły z poza kulis wieści o nietakcie dyrekcyi, o ciągłych intrygach i nieporozumieniach. Rządziło jednocześnie z dziesięciu wicedyrektorów płci obojej. Główny dyrektor grał rolę pana wszechwładnego, nieprzystępnego zwykłym śmiertelnikom, niegrzecznego dla podwładnych (uważał za nich i autorów dramatycznych), a pozwalającego jednocześnie podnosić głowę dworskiej kamaryli. Sporo miejsca trzebaby poświęcić dla wykazania tych stosunków, których dla publiczności widzialnym rezultatem był zły repertuar, słaby personał, nieodpowiednia obsada itd. W dnie rocznic narodowych grano tłuste farsy; podczas uroczystości kościuszkowskiej dyrektor był na tyle nietaktowny, że zażądał 800 złr. od komitetu za bilety dla zebranego ludu. Uzupełniały ten obraz spory z komisyą teatralną, z recenzentami (odebrano bilety jednej z redakcyi) i wreszcie samego personału pomiędzy sobą. Ostatni skandal i dymisya p. Kotarbińskiego, pochodząca z nieuzasadnionych, a wstrętnych pobudek, — oto apoteoza tej gospodarki, która każe na seryo myśleć o zmianie niedołężnej, nierozumiejącej potrzeb sceny i pod względem etycznym ujemnej dyrekcyi. Takiego rezultatu nawet piszący te słowa nie spodziewał się, lubo z góry zaznaczał, że pan P jest na dyrektora „stanowczo nie odpowiedni". Bo czyż można było w lepszych warunkach obejmować scenę? Rada miejska obdarzyła pana P. olbrzymiem zaufaniem zdając na ślepo w jego ręce dyrekcyą; oba pisma i stronnictwa pisały mu reklamy („Czas" dlatego, że przyznawał się do Stańczykostwa, a „Reforma" ponieważ ojciec jego jest liberałem i jej współredaktorem); związki rodzinne pozwoliły mu sprowadzić na reżysera p. Józefa Kotarbińskiego, człowieka wysoce inteligentnego, dobrego pisarza, wytrawnego nauczyciela sztuki aktorskiej, artystę najpierwszej sceny polskiej. W takich warunkach nawet wrodzone niedołęstwo, brak dostatecznego wykształcenia i wszelkie inne wady dyrektora, mogły nie przedostać się na światło dzienne. Ale pan P. okazał się genialnym w doprowadzeniu sceny do upadku. Co dalej będzie nie wiadomo; to pewna, że Rada miejska powinna dla dobra teatru usunąć dyrektora, a kontrakt dzierżawy (na szczęście bardzo szczegółowo i ostro określający powinności dzierżawcy) dozwoli jej to w każdej prawie chwili uczynić. Wobec faktu stwierdzonego księgami, że teatr, nawet tak nędznie prowadzony, przynosi piękne dochody, najracyonalniejszem wyjściem byłoby objąć go we własny zarząd gminy i mianować płatnego dyrektora. Nie trudno będzie znaleść człowieka energicznego, wykształconego literacko, który odda swój czas i pracę na usługi teatrowi. Kult dla pieniędzy zawiódł Radę miejską, niechże po smutnem doświadczeniu zamieni go na kult głowy.

Całe dziennikarstwo wyraża się o losie robotników ceglarskich z pełnem politowaniem. Pozoduje pod tym względem organ konserwatywny, który zebrał nawet ścisłe dane, wykazujące nędzę tych biedaków.

Przedsiębiorca zazwyczaj buduje piec, wbija cztery słupy w ziemię, pokrywa je lichym dachem (ściany zostawia otwarte) i stawia szopę na tak zwaną kantynę, to jest na szynk dla robotników — i na tem poprzestaje. Pomiędzy robotnikami głównemi figurami są „strycharze", oni bowiem wyrabiają cegłę, a reszta robotników spełnia czynności pomocnicze. Strycharze ci łączą się w grupy po trzech. Własnemi narzędziami kopią glinę i starają się o wodę, często w dalekiej odległości się znajdującą. Jeden rozbija gruzy, drugi leje wodę, trzeci rozrabia glinę. Ta praca przygotowawcza trwa od godziny 3ciej do 9tej rano, wśród chłodu porannego, z obnażonemi nogami dla urabiania niemi gliny. Potem dwóch pracuje nad formowaniem cegły, a trzeci donosi wyrobioną glinę. Jeżeli dzień pogodny, to do godziny 9tej wieczorem, czyli po pracy 18to godzinnej. zarabiają wszyscy trzej około 4 złr. z których część znaczną zostawiają w kantynie przeważnie za wódkę, którą się rozgrzewają podczas chłodu i pokrzepiają w chwilach zmęczenia. W dzień słotny zarobek ich zmniejsza się do połowy. W najlepszym wypadku otrzymuje robotnik 9 złr. tygodniowo, z których połowę zostawia w kantynie, a w czasach słotnych płaca jego tygodniowa nie wynosi więcej nad 4 złr. z których przynajmniej dwie trzecie zjada kantyna. „Czas" zaręcza, iż nie ma ani jednego słowa przesady w tem co podaje, a ponieważ niedola tych robotników jest rzeczywistą i bolesną, przeto słuszną robi uwagę, że „nie można w żaden sposób potępiać tych, co przystąpili do zmowy." Jeżeli nie można ich potępić, a więc ktoś inny zasługuje na potępienie. „Czas" przez ogledność tych innych wprost nie wymienia, ale są nimi właściciele, wyłącznie prawie żydzi, wyzyskujący pracę robotnika, a równie winnemi są władze, które pozwalają na podwójny wyzysk przez niską płacę i przez kantyny utrzymywane przez właścicieli lub też wydzierżawione za pewien procent od sprzedaży. Ponieważ takie kantyny są wprost nielegalne wobec istniejących przepisów, przeto przy pozwoleniu na ich prowadzenie, mogłaby władza śmiało wywrzeć swój nacisk na polepszenie doli robotników. Nie wiadomo na czem zmowa się skończy. Strejkujący usiłowali przeszkadzać pra-

cującym i zatrzymywali nawet na rogatkach fury wiozące cegłę do miasta. Właściciele cegielni zgadzają się na wszystkie żądania robotników, z wyjątkiem . . . . podniesienia płacy. Także „ryby“!

P. Rygier przywiózł nareszcie figurę Mickiewicza. Brakuje tylko jeszcze jednej grupy — obyśmy na nią całych lat nie czekali.

Ks. Marcelina Czartoryska, osoba zasłużona na polu filantropii, jedna z najlepszych uczennic Chopina umarła.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WROCŁAWSKA.

Wrocław 8 czerwca.

(Występ p. Konopki. Tow. akademików górnośląskich).

W ubiegłą sobotę odbył się na jednej z tutejszych sal publicznych „wieczór patryotyczno-deklamacyjny“ p. Konopki. Recytator krakowski rozpoczął swój występ wyjątkiem z „Pana Tadeusza“ o grze Jankiela.

Pierwszą tą deklamacyą zawiódł on wygórowane oczekiwania, powzięte wskutek wiadomości większej części gazet poznańskich. Dość słaby głos i rażący niekiedy aż nadto płaczliwy ton jego kazał nam odtąd zważać więcej na uczucie i zrozumienie myśli autora. Ale i pod tym względem interpretacya powyższego ustępu nie wytrzymywała krytyki.

Daleko korzystniejsze wrażenie wywarł ustęp z Mazepy. Nie trudno było przy jakiejkolwiek uwadze rozróżnić pojedyńcze występujące osoby. Zwłaszcza Jan Kazimierz odznaczał się zawsze równym, do rozkazywania przywykłym głosem.

Następne deklamacye wykazywały wiele zalet, ale i też wady p. Konopki. Pomiędzy utworami recytowanemi odznaczała się szczególnie „Roma“ Krasińskiego. Recytator starał się tu wydobyć wszystką siłę głosu swego i uczucia, choć i teraz zbyt płaczliwy ton niejednokrotnie raził ucho słuchacza.

Bądź jak bądź publiczność nielicznie stosunkowe zebrana odniosła wrażenie dodatnie. Usłyszała ona żywe słowo wieszczów naszych, usłyszała coś polskiego, co jej się tutaj nie tak często zdarza. Wyszła więc zadowolona ze sali, a słowa dodanej prawie wyłącznie krytyki ten i ów rzucał pospieszając do domu. „Wcale nie źle, tylko Konopka nie ma dolnych zębów,“ zauważył jakiś znawca, czy też doskonały spostrzegacz.

Ja zaś zastanowiłem się nad znaczeniem „wieczoru patryotyczno-deklamacyjnego.“ I zdało mi się, że występ p. Konopki nie był zbyteczny, że za zasługę mu poczytać należy, że przypomniał niejednemu z Wrocławiaków, ile się skarbów mieści w literaturze naszej, i jak piękna ta mowa nasza w ustach pieśniarzy ojczystych.

A o tem Wrocławiacy łatwo dosyć zapominają. Nieraz zdarzyło mi się spotkać takiego, co słysząc mnie mówiącego po polsku oświadczał mi ztąd ni z owąd, że i on jest Polakiem, że i on po polsku rozumie, choć mówić już (niestety) zapomniał. Nie dawniej, jak przed kilku dniami, kobieta wynajmująca łódki na jednym z przedmieść drugiej stolicy Prus, zwróciła się do mojego przyjaciela z zapewnieniem, że cieszy się bardzo, słysząc nas mówiących po polsku, boć to jej język rodzinny (Das ist ja meine Muttersprache).

Ale nie wszyscy Ślązacy przebywający we Wrocławiu zapominają o swoim języku i narodowości swojej. Mamy tu wiele towarzystw polskich, a pomiędzy niemi towarzystwo akademików Górnoślązaków. Wytyczną tegoż towarzystwa jest uczenie się poprawnego mówienia i pisania po polsku i kształcenia się w literaturze i dziejach ojczystych.

Od czasu do czasu uczęszczam do towarzystwa tego, i zawsze wychodzę z posiedzenia pełen wrażeń dodatnich.

Myśl przewodnia jasna i niczem nie zmącona jednoczy tę małą jeszcze garstkę i spaja ją w dziwną harmonją, łagodząc szybko pomniejsze nieporozumienia, a wskazując na kres wyższy, do którego wszyscy razem dążą usilnie. Kres ten jeszcze daleko. Trzeba będzie zwalczyć niejedną zaporę, nie jeden próg przeskoczyć. Tyczy się to głównie czystości języka, — ale postępy już namacalne. Byleby ci nasi górnośląscy bracia nie spoczęli w pracy, sądząc, że już dosyć dokazali, że już czas na wawrzynach spocząć, to dojdą w końcu niezawodnie tam, dokąd zmierzają.

Pamiętam dobrze jeszcze jedno z pierwszych posiedzeń, na którem byłem obecnym. Wykład był nieszczególny co do układu i połączenia myśli, co do języka tępy, ale uczucie, z jakiem go odczytał członek towarzystwa, a zwłaszcza pochwała jednego z gości, pochodzącego z „Królestwa“, podziałała skutecznie na obecnych. Zapał coraz więcej się wzmagał, a owocem jego była deklamacya drugiego członka towarzystwa, wymuszona trochę dla trudności językowych, ale także pełna uczucia, a w końcu śpiewy i przemówienia rozliczne a serdeczne.

I czuli się wtedy wszyscy synami jednej ojczyzny; młody zapaleniec reform wolnomyślnych ściskał dłoń zacietrzewionego teologa, delikatna pieszczona ręka spoczęła w szerokiej szorstkiej dłoni, i zabrzmiała pieśń: „Długo Śląsk nasz ukochany i t. d.“

Już minął czas, gdzie duchom potępionych wolno chodzić po ziemi, strasząc przechodnia, kiedyśmy się rozchodzili. A gdym się udał na spoczynek, długo mi zasnąć nie dały słowa i melodya pieśni kończącej się:

„Tam gdzie w tej ziemi skarb jest nieprzebrany,
Tam ma ojczyzna, to mój Śląsk kochany.“

Notus.

Z estrady i sceny.

Dwa koncerty berlińskiej orkiestry koncertowej.

Koncerty berlińskiej „Conzerthaus-Kapelle“ pod dyrekcyą p. Meyder'a pozostawiły w Poznaniu jak najkorzystniejsze wrażenie tak pod względem zgodności gry, jak i subtelności w cieniowaniu; nadto odznaczała się gra prawdziwą młodzieńcza werwą, poetycznym polotem i szczerem ciepłem.

Siła kwartetu smyczkowego, ta podstawa każdej orkiestry jest wprost zdumiewająca, a miękkkość i czystość tonu nawet w najwyższych pozycyach wzorowa. To samo muszę powiedzieć i o dętych instrumentach tak blaszanych, jak i drewnianych. W dobrych rękach spoczywają także instrumenta perkusyjne, a niemniej wyborną jezt harfistka, o czem publiczność najlepiej mogła się przekonać w koncertowem Andante Mozarta na flet i harfę. Nie dziw więc, że w obec tak sprzyjających okoliczności prawie wszędzie zachowano harmonijną piękność brzmienia, ten pierwszy i nieodzowny warunek artystycznego wykonania wszelkich utworów muzycznych.

Program obu koncertów składał się przeważnie z utworów nowoczesnych kompozytorów. I tak rozpoczął się pierwszy wieczór: uwerturą niedawno zmarłego francuskiego kompozytora Ed. Lalo do opery „Le Roi d'Ys“. Kompozycya sama nie zaleca się tak pomysłowością jak raczej wykończoną formą i świetną instrumentacyą, w której wogóle nowsza szkoła francuzka celuje. Baletowa muzyka do Gounoda opery „Faust“ dołączona później przez autora, zaleca się dobrą fakturą, ale brak wszelkiej wyrazistości tematów zdradza wyczerpanie sił twórczych. Za to Czajkowskiego „Capriccio italien“ odznacza się tak wyborną formą, jak przecudnemi i wielce charekterystycznemi melodyami, które się znacznie przyczyniły do uplastycznienia poetycznej myśli autora. Utwór ten nadto świetnie instrumentowany i znakomicie odegrany uzyskał ogólne uznanie słuchaczy. Znakomicie wypadł także ostatni numer pierwszego wieczoru: Liszta Polonez Edur.

Nowa szkoła niemiecka reprezentowaną była przez swego założyciela Wagnera, dwoma utworami. Wykonano „Wstęp do Lohengrina“ i „marsz żałobny“ z „Götterdämmerung.“ Utwory te należą do najwspanialszych kreacyi nowoczesnej muzyki; pierwszy zaleca się wprawdzie nadziemskiemi efektami orkiestralnemi, drugi łączy zgrozę sytuacyi z niewypowiedzialnym smutkiem po utracie bohatera Zygfryda. To też odegrane z wielkiem przejęciem i zrozumieniem przez orkiestrę, wywarły na słuchaczach głębokie i trwałe wrażenie. Smutnie poniekąd prezentuje się krytyka umieszczona w „Dzienniku Poznańskim“, która przemilcza o prawdziwie wartościowych utworach wykonanych w pierwszym koncercie, a za to błahą i banalną „Serenade roccoco“ Meyer-Helmund'a uważa za „ozdobę pierwszego koncertu“...

Klasycy w pierwszym koncercie byli nieco po maczoszemu traktowani, bo prócz miluchnego Andante Mozarta z mało znanego koncertu na flet i harfę, po mistrzowsku przez panią Koch-Amort i pana Roessler'a odegranem, uraczono słuchaczy tylko sławnem Largo fis—dur z kwartetu Haydn'a, który to utwór, wolniej trochę grany mógł wiele zyskać na powadze i piękności zarazem.

Prócz wyżej wymienionej wspólnej solowej produkcyi na flecie i harfie, wykonała orkiestra jeszcze Serenadę Volkman'a, w której solo wiolonczelowe odegrał bardzo pięknie pan Lassbach na skrzypcach zaś wykonał pan Schnedler-Petersen, Vieuxtempsa: Fantaisie caprice. Gra odznaczała się poprawnością i czystością tonu; artysta posiada jednak za słaby ton, tak że we walce z akompaniamentem orkiestry nie zawsze z niej zwycięzko wychodził. Nadto nie przyczyniła się wypuszczona waryacya w podwójnych tonach do zaokrąglenia całości. Pan Fr. Werner odegrał na trąbce solo znakomicie trywialną Fantazyą Fuchsa na temat „ostatniej myśli Webera“, a właściwie Reissigera wedle nowszych badań.

Drugi wieczór był dla niejednego z literaturą muzyczną nie obeznanego zagadkowym. Program w ostatniej chwili zmieniono i zamiast ogłoszonego Nr. 3 odegrała orkiestra program Nr. 2, w skład którego wchodziła także genialna symfonia Beethovena Nr. 5. c—moll. Wskutek tej zmiany przeciągnął się zbytnio koncert, tak że publiczność znużona słuchaniem bogatego programu, w trzeciej części licznie zaczęła opuszczać salę, wywołując wielki niepokój i niezadowolnienie u reszty wytrwalszych słuchaczy, którzy z cierpliwością wysłuchali koncertu do końca. Wieczór rozpoczął się Webera znaną uwerturą do Curyanty, poczem nastąpił prolog do opery „Bajazzi“ Leoncavallo, który prawdę mówiąc w opracowaniu na orkiestrę, pozbawiony słowa i sceny słabe robi wrażenie, ponieważ brak organicznego związku pomiędzy luźno nawiązanemi tematami muzycznemi razić musi słuchacza.

Mimo licznych pobocznych motywów, jakie partytura Wagnera „Siegfried-Idyll“ zawiera, umiał mistrz pogodzić myśl poetyczną z formą symfoniczną i stworzył utwór pełen szczerej prostoty i serdecznego ciepła. Kompozycya napisana z okazyi narodzin syna mistrza: Zygfryda, zainteresowała publiczność we wysokim stopniu, która nie szczędziła zasłużonych oklasków za dzielne wykonanie tak wspomnianego utworu jak i również arcy-trudnej uwertury do Tanhäusera tegoż autora. Kwartet smyczkowy odegrał znakomicie waryacye z kwartetu A—dur Beethovena i mały drobiazg kompozycyi Fall'a, niegodny znajdować się w tak bliskiem towarzystwie Beethovena.

Solowe produkcye rozpoczął pan Roessler świetnem odegraniem na flecie waryacyi Demerssema'a „le tremollo“ i wykazał obok pięknego, pełnego tonu wielką wprawę i wytrwałość zadziwiającą w pokonaniu trudnej specyalności na flecie: tak zwanej „Doppelzunge“ t. j. w szybkiem uderzaniu językiem; dalej odegrał p. Fr. Werner na trąbce fantazyą na turyngskie tematy Hocha. Literatura solowa na trąbkę jest widocznie bardzo biedna, ponieważ utwór ten, jak również odegrany na poprzednim koncercie nie posiadał żadnej wartości muzycznej. Biegniki i rulady szablonowe, tak do siebie podobne i monotonne, że nawet w takiem świetnem wykonaniu nużyły, Nie wszędzie też była zachowana czystość intonacyi.

Pan Neymann, 2gi koncertmistrz odegrał z elegancyą i ciepłem zamiast w programie oznaczonej „Scène de la Czarda" Hubaya, początek, i ten nawet obcięty, Vieuxtemps'a: Fantaisie appassionata". Utwór ten odegrała w Poznaniu za ostatniej bytności swojej p. Bulewska. Krytyk „Dziennika Poznańskiego" liche snać musi mieć wyobrażenie o węgierskiej muzyce, skoro utwór francuskiego skrzypka uważał za „Scène de la Czarda". Przypomina mi to sławną krytykę zamieszczoną także w „Dzienniku Pozn." w której krytykowano z wszelkiemi szczegółami „Rapsodyą węgierską", choć pianista — p. Sliwiński — grał w miejsce to znaną Tarantellę Liszta i w której to krytyce rozkoszowano się nad passażami w kwintach. Kto choć trochę liznął teoryi muzycznej ten wie dobrze, że takie passaże w kwintach należą do największych błędów i w żadnej kompozycyi nie zachodzą, a kto jakie takie ma wyobrażenie o formach muzycznych, ten odróżni także Rapsodyę od Tarantelli, choćby już narodowej nie odczuł nuty . . .

Na szczególne odznaczenie zasługuje wspaniałe wykonanie symfonii Beethovena C-moll; zwłaszczcza cudnie brzmiał II ustep: melodyjne Andante con moto i wspaniałe Finale, które, jak wieść niesie, wykonane po raz pierwszy w Paryżu, w koncercie konserwatoryum, zelektryzowało starego napoleońskiego grenadyera do tego stopnia, że porwany elementarną siłą tonów powstał z miejsca i wybuchnął okrzykiem: Vive l'empereur.... Koncert zakończył się o godz. 11½ w nocy Fantazyą rosyjskiego kompozytora Glinki p. t. „Kamarinskaja", w której ludowa muzyka święci prawdziwy swój tryumf.

Zalecałoby się w przyszłości krótsze podawać programy i wiernie tychże się trzymać, ponieważ łatwo mogą się krytykom „Dzien. pozn." i innym ludziom przydarzyć nieprzyjemne qui pro quo. *E. Jahnke.*

KRONIKA LITERACKA.

— Ignacy Dąbrowski: Felka, nowella, Warszawa. Nakładem Paprockiego 1894.

Felka — to biedna dziewczyna, pracująca ciężko na życie w warsztacie krawieckim. Z miasta pisze listy do matki swej, która w jakimś dworze na wsi zapewne spełnia służbę gospodyni, W listach tych, odsłaniających całą niewinność i prostotę gołębiej duszy, zwierza się samotna córka ze swych umartwień i radości, ze swych nadziei i pragnień. Donosi o nadmiarze pracy, który zniewala ją do czuwania po nocach, pisze mimochodem o pp. Skrodzkich, u których mieszkała na stancyi, o ich córce Romanie wreszcie o panu Kazimierzu który uratował ją na pierwszym i jedynym balu od hańby „pietruszkowania." Odtąd listy jej pełne uwielbienia dla nieświadomie, lecz głęboko pokochanego człowieka. Tymczasem Felka z powodu obarczenia pracą, zaczyna chorować; szanowni państwo Skrodzcy wyzyskują i oszukują biedną dziewczynę coraz bardziej, aż nareszcie gaszą ostatni promyk nadziei odbijając w nikczemny sposób jej ukochanego dla własnej córki, Biedna, a chora i zdradzona Felka opuszcza wtedy dom Skrodzkich i tylko jeszcze raz, choćby przez szparę we drzwiach, chce zobaczyć tego, który był dla niej wszystkiem w ciężkiej pracy, dla którego żyła i myślała. Idzie w świat ze złamanem sercem i pyta: „Tylko, co ja teraz zrobię, moja mamo?"

Jest to utwór nawskroś realistyczny; szara proza codziennego życia występuje tu tak prawdziwie, ma w sobie tyle siły rzeczywistości, że byłby to chyba dokument życiowy, gdyby podkład uczucia i talentu nie ożywiał martwej obserwacyi. Jest to jeszcze jedna kartka w wielkiej księdze życia biednej i osamotnionej kobiety, rzuconej losem opatrzności w świat między ludzi, — kobiety, która doświadczenie zaufaniem tylko i niewinną prostotą zastąpić może. Karta to jedna z piękniejszych i lepszych wśród wielu, choć brak zupełny zdolności grupowania osób w pewne jasno określone stosunki, nie mało wartość dzieła umniejsza. Bo... bd...

* * *

— Seved Bibbing. Hygiena płci i jej moralne następstwa. Warszawa, nakład księgarni I. Guranowskiego (bez roku) str. 156.

Oddawna zarzuceni jesteśmy formalnie literaturą „płciową". Wszędzie wychodzą rozmaitego rodzaju poradniki, których autorowie najczęściej wstydzą się położyć na książce swoje nazwisko. Tym razem mamy do czynienia z pracą poważną, bo wyszłą z pod pióra profesora uniwersytetu w Lund. Trzymając się na stanowisku empiryka, wypowiada on swoje poglądy na popęd płciowy, na małżeństwo i na prostytucyą. Naturalnie, że rozbiera wiele innych kwestyi, stojących w związku z głównemi. Empiryk jednak jest w sporej dozie doktrynerem. Tak n. p. stara się udowodnić, że słynne żądanie od młodych mężczyzn, wypowiedziane przez Björnsona w „Rękawiczce", posiada podstawy naukowe. Występuje przeciw leczeniu onanizmu normalną funkcyą płciową, omało, że nie przekłada pierwszego nad drugą, przytaczając na dowód statystykę obłąkanych, która wykazuje mały procent onanistów. W sprawie prostytucyi oświadcza się za przyjętym powszechnie systemem rewizyjnym, przeciw śmiesznym teoryom, usiłującym system ten znieść w imię moralności. Oczytany w literaturze, zwłaszcza w skandynawskiej, autor na każdej prawie karcie walczy z Brandesem, Strindbergiem, Hanssonem i t. d. w obronie monogamji i zasad moralności chrześcijańskiej. Rzecz, bądź co bądź ciekawa, tłomaczenie nieszczególne, zwłaszcza drugi przypadek bardzo rzadko odnosi tam, gdzie mu się należy, zwycięztwo nad przypadkiem czwartym. K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Duńscy posłowie do sejmu pruskiego Johannsen i Lassen złożyli niedawno prezesowi Koła polskiego, p. radzcy Stanisławowi Mottemu, urzędową wizytę dla wyrażenia w imieniu wyborców swoich serdecznej wdzięczności Kołu polskiemu za poparcie duńskich wniosków językowych. Posłowie Johannsen i Lassen podnieśli mianowicie z gorącem uznaniem przemówienie p. radzcy Mottego w tej sprawie, która niewątpliwie i w przyszłości znajdzie gorące poparcie Koła polskiego bez względu na obecne prądy wygórowanego lojalizmu.

— Przeciw powieści Zoli pt. „Lourdes" odbywają się obecnie w Rzymie we wszystkich kościołach kazania na wyraźny rozkaz papieża. Sławny kaznodzieja Agostino de Montefeltro ma rozpocząć podróż po całych Włoszech, by w kazaniach swych rzucać klątwę na książkę!

— Krytyka na krytyka. W literaturze serbskiej narobiła wielkiego hałasu książeczka Lubomira Nedicza „O nowszej liryce serbskiej", która z niesłychaną gwałtownością potępiła poetów serbskich w Austro-Węgrzech, a zatem takich jak Zmaj Jowanowicz i Lazar Kosticz, których poczytywano za czoło poetów serbskich, a wynosiła nad nich Jerzego Jakszicza i Jowana Iljicza. Na ową krytykę odpowiedział w czasopiśmie „Strazilowo" młody literat, Bronisław Stanojewicz i wykazał całą nicość hiperkrytyki Nedicza, na której dnie leży podobnie, jak u wielu hiperkrytyków w innych literaturach, żółć i niekonsekwencya. Stanojewicz dowiódł, że Nedicz wysławia w Jaksziczu i jego popplecznikach to, co Jowanowiczowi i Kosticzowi za grzech śmiertelny poczytuje. Odprawa, dana lekkomyślnemu ganicielowi tego, co Serbowie poczytują za chwałę swej literatury, zyskała szczere uznanie.

— Ruch emancypacyjny kobiet w Danii. Emancypacya kobiet w Danii robi szybkie postępy — i to z dniem każdym coraz widoczniej. Coraz częściej napotykamy kobiety na stanowiskach, zajmowanych dotychczas jedynie przez mężczyzn. Wyższa nauka, sztuki piękne, rzemiosło, wchodzące jedynie w zakres działalności męzkiej, od niedawna stają się także udziałem kobiet, które dowiodły istotnie swej zdolności i zręczności w wyżej wymienionych zawodach. Z dniem każdym wzrasta ilość kobiet, zatrudnionych w biurach, a nawet niedawno założono dla słabej połowy ludzkości specyalną „szkołę handlową", która bardzo dobrze prosperuje. Dziesiątki kobiet uczą się stenografii. Zrazu nie wolno im było pełnić funkcyi stenografek w parlamencie, lecz ostatecznie i na to zyskały pozwolenie od rządu. Zawiązało się nawet „duńskie stowarzyszenie kobiet", które w tym zakresie jest instytucyą przewodniczącą, ma własny swój organ, założyło biuro „przepisywania", w którym znaczna ilość kobiet jest czynną i wykonuje swe prace stenograficznie i za pomocą maszyn do pisania.

Przed dziesięciu laty studentka zaliczała się do wyjątków, obecnie jest ich znaczna ilość w uniwersytecie kopenhagskim; wogóle w Danii jest już kilka kobiet-doktorów i dentystek, które cieszą się rozległą praktyką. Fakultet prawniczy liczy także kilka słuchaczek, jednakże kobietom nie wolno jeszcze sprawować urzędu adwokatek. Pomiędzy słuchaczkami prawa odznaczyła się pani Frederiksen. Obecnie bawi ona w Chicago, gdzie brała udział w kongresie dla kobiet, na którym występowała w oddziale kobiecym w charakterze sędziego.

Dzień 24 marca 1893 r. zapisał się w pamięci studentek duńskich, gdyż w dniu tym otrzymała p. Hüde dyplom doktora filozofii. Oddała się ona głównie naukom historycznym, a praca jej doktorska „Konstytucya duńska za dawnych czasów", zjednała sobie bezwarunkowe uznanie kompetentnych osób. P. Hüde otrzymała natychmiast zajęcie w archiwum państwowem i sprawuje swój urząd dotychczas. Również i w zawodzie aptekarskim rywalizuje dziś już kobieta z mężczyzną; w pewnej aptece w Kopenhadze pracuje jedna farmaceutka, która za kilka miesięcy składać będzie państwowy egzamin. Lecz nietylko w zakresie naukowym dobiły się kobiety tak poważnego stanowiska, wydoskonaliły się one także i w rzemiośle. Przed kilku miesiącami Zofia Kristensen przyjętą została uroczyście do „stowarzyszenia czeladzi stolarskiej" w Kopenhadze. Popisową robotę, szafę do książek, wysłano na wystawę do Chicago i sprzedano za 1000 koron. Obecnie bawi Z. Kristensen w Chicago, w celu wyuczenia się amerykańskiego stolarstwa.

W wszystkich gałęziach, korzyść przynoszących, kobiety w Danii znajdują zajęcie — pracują one w księgarniach, zakładach fotograficznych, a w niektórych fabrykach mają nawet pierwszeństwo przed mężczyznami. W drukarni kopenhagskiej „National-Tidende" pracuje przeszło 50 kobiet, w ekspedycyi również ilość ich jest znaczna.

Oprócz wyżej wspomnianego „stowarzyszenia kobiet", istnieje jeszcze „radykalne stowarzyszenie kobiet", które posiada własny swój organ i pod dewizą „czego chcemy" walczy za emancypacyą.

Drugie stronnictwo „kobiet postępowych," które również ma swój dziennik i w programie swym umieściło żądanie prawa wyborczego dla kobiet, protestuje przeciw dewizie radykalistek „czego chcemy" — zaleca żądać jedynie możliwych rzeczy i zadowolnić się tem, co osięgnąć można. Do radykalnego stronnictwa należy stowarzyszenie socyalno-demokracyczne, żądające, aby wszystkie kobiety brały udział w ruchu socyalno-demokratycznym — do umiarkowanego stronnictwa należą wykształcone mieszczanki, na których czele stoi autorka Ewa Jul-Hansen, siostra znanego poety Holgera Drachmanna i pierwsza kobieta-doktór w Danii p. Nielsen. H.

Zmarli:

Wilhelm Roscher, słynny ekonomista. Roscher urodził się w Hanowerze. Po ukończeniu tamże gimnazyum uczęszczał na uniwersytet w Getyndze, gdzie też w r. 1840 habilitował się. W cztery lata później został mianowany zwyczajnym profesorem i powołany na uniwersyset lipski, gdzie aż do końca swego życia wykładał. Wykłady jego były zawsze tłumnie odwiedzane. Był on bowiem właściwym założycielem historycznej szkoły ekonomii. Najsłynniejszą jego pracą jest dzieło p. t. „System der Volkswirthschaft", w której rozwinął swe poglądy, jako też dzieło p. t. „Geschichte der Nationalökonomie in Deutschland".

Aleksander Magnus, artysta-medalier.

Edward Holzberg, wybitny matematyk.

Henryk Morley, historyk literatury, profesor University-College w Londynie.

Karol Emil Jacque, słynny francuzki malarz zwierząt i krajobrazów oraz rytownik.

Jakób Gilchrist, mechanik, szkocki Stradivarius.

BIBLIOGRAFJA.

— Z. L. S. Historya dwóch lat 1861—1862. Część pierwsza, rok 1851, tom III: czerwiec — grudzień. — Kraków 1894. Nakład i druk Wł. L. Anczyca i Sp. w 8-ce, stron 508. Cena 8 marek.

— Kanonik Duilhé de Saint Projet: Apologia naukowa wiary chrześciańskiej. Przekład z trzeciego wydania francuzkiego, poprzedzony słowem wstępnem JE. X. Michała Nowodworskiego, biskupa Płockiego. Warszawa 1894. Nakład Gebethnera i Wolffa w 8-ce, stron 455. Cena 4,50 mr.

— Jan Karłowicz. Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim. Zeszyt I. (A.—E.) Kraków 1894. Nakładem autora, w wielkiej 8-ce, stron 147. Cena 4.50 mk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Przyjacielowi. Na wszystkie zaczepki i oszczerstwa odpowiadać nie możemy, bo polemika zbyt wiele zajęłaby miejsca. Intencye nasze czyste i sumienie bez skazy. Gmach kłamstw wzniesiony przez wrogów naszych prędzej czy później w gruzy się rozpadnie.

— Maryi. Dzieła Ibsena ukazały się w taniem wydawnictwie Reclama.

— Długoszowi. Prosimy o podanie bliższego adresu.

— P. T. Naczelnym redaktorem miesięcznika „Gesellschaft" jest utalentowany pisarz Karol Bleibtreu. Prenumerata kwartalna wynosi 4 marki.

— Jadwidze. Taki „cas de conscience" jest istotnie niesłychanie zawiłym i drażliwym. Ująć go w formę powieściową to rzecz trudna i niebezpieczna. O rozwiązanie artystyczne i psychologiczne pokusić się może tylko wielki talent.

Sprostowanie.

— Na str. 7 w wierszu pierwszym drugiego łamu odcinka opuszczono słowa: „moskiewskich do zbierania ziemi".

Od Administracyi.

Czas odnowić przedpłatę.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „PrzegląduPoznańskiego." Czcionkami W. Simona w Poznaniu.